



3 1761 08822343 3

H. Sienkiewicz

PISMA







PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM LVI

---

Korektę prowadził Dr. Kazimierz Nitsch.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

LP  
S 5724

*Sienkiewicz, Henryk*

PISMA  
HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM LVI

KRZYŻACY  
CZĘŚĆ VIII

**486114**

17.2.49

WARSZAWA

NAKLAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO  
(DODATEK BEZPŁATNY)

1903

*Lof...*

*Pybels...*

LIBRARY OF THE  
POLISH LITERATURE SOCIETY  
NEW YORK

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 21 Ноября 1902 г.

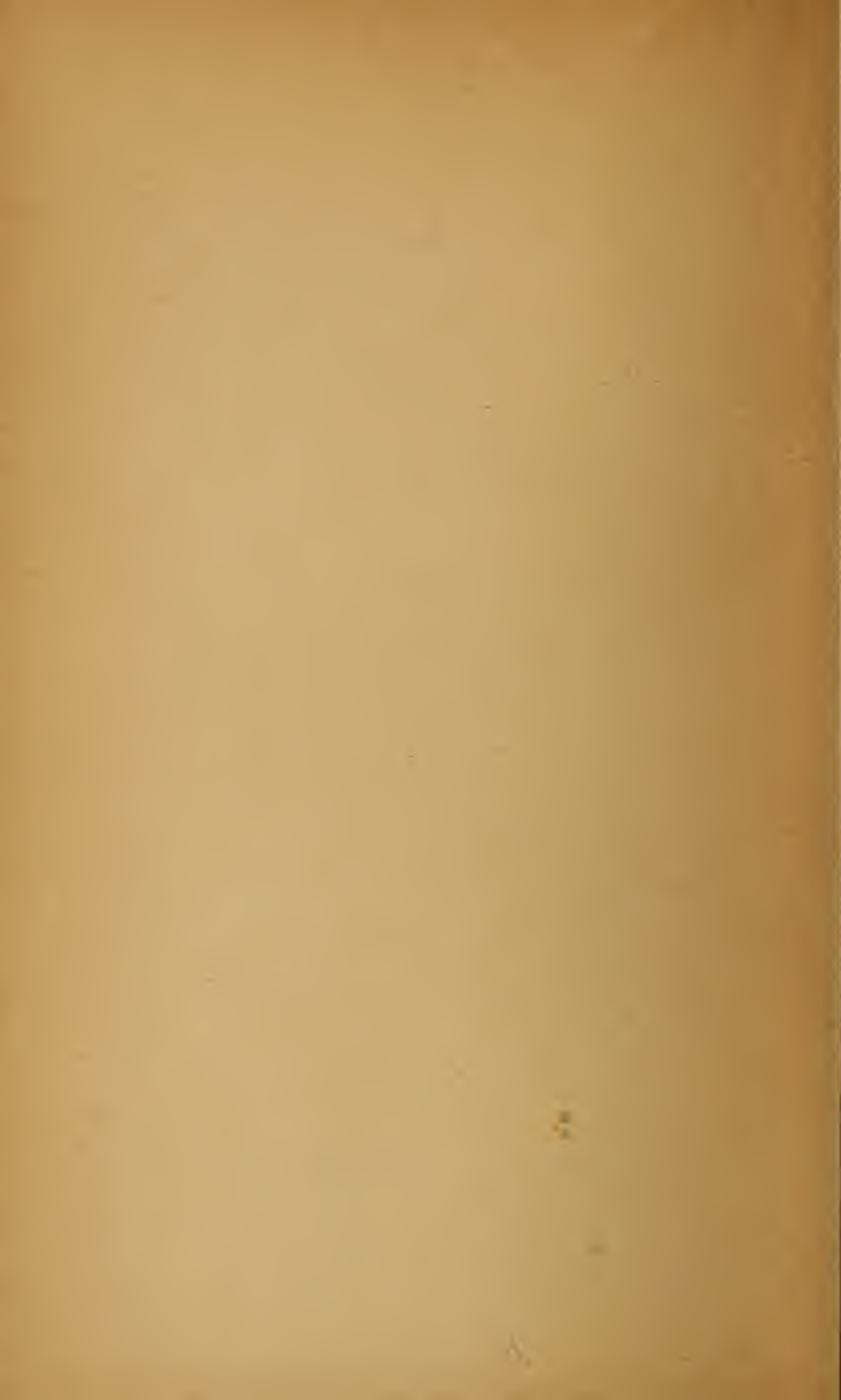




K R Z Y Ż A C Y

---

CZEŚĆ ÓSMA



## LXII.

Zbyszko podjął panią na Płocku pod nogi i służby jej swoje ofiarował, ale ona nie poznała go w pierwszej chwili, gdyż nie widziała go od dawnego czasu. Aż dopiero, gdy jej powiedział jako go wolają, rzekła:

— Prawdziwie! A ja myślałam, że kto z dworu królewskiego. Zbyszko z Bogdańca! Jakże! Gościł tu u nas wasz stryjko, stary rycerz z Bogdańca, i pamiętam, jako i mnie i moim dwórkom służy ciurkiem leciały, gdy nam o was prawił. A odnaleźliście waszą niewiastę? gdzie ona teraz?

— Zmarła mi, Miłościwa Pani...

— O miły Jezu! Nie mówcie, bo płakania nie strzymam. Jedno to pociecha, że pewnie w niebie, a wyście młodzi. Mocny Boże! mdłe to stworzenie — każda niewiasta. Ale w niebie za wszystko nagroda i tam ją znajdziecie. Zaś stary rycerz z Bogdańca jest tu z wami?

— Niemasz go, bo w niewoli u Krzyżaków, z której jadę go wykupić.

— To i jemu się nie poszczęściło. A zdawał się człek bystry i wszelaki obyczaj znający. Ale jak go wykupicie, zajedźcie też do nas. Radzi was ugościm, bo szczerze powiadam, że jemu na rozumie, a wam na gładkości nie zbywa.

— Uczynim tak, Miłościwa Pani, tem bardziej, żem i teraz umyślnie tu przyjechał, aby Waszą Miłość o dobre słowo za nim prosić.

— Dobrze. Przyjdźcie jutro przed wyjazdem na lowy, to będę miała czas..

Dalsze jej słowa przerwał znowu huk trąb i kotłów, oznajmujących przybycie księstwa Januszów Mazowieckich. Ponieważ Zbyszko z panią na Plocku stał tuż przy wejściu, więc księżna Anna Danuta spostrzegła go od razu i natychmiast zbliżyła się do niego, nie zważając na poklony gospodarza starosty.

A w młodzianku rozdarło się na nowo serce na jej widok, więc klęknął przed nią, i objąwszy rękoma jej kolana, klęczał w milczeniu, ona zaś pochyliła się nad nim i ścisnąwszy mu dłońmi skronie, ronila łzę po łzie na jego jasną głowę, zupełnie jak matka, która płacze nad nieszczęściem syna.

I ku wielkiemu zdziwieniu dworzan i gości plakala tak dlugo, powtarzając: «O Jezu, o Jezu milosierny!» — poczem podniosła Zbyszka z kłęczek i rzekła:

— Placząc po niej, po mojej Danuśce, i płacząc nad tobą. Bóg tak wszelako zrządził, że na nic były twoje trudy i na nic teraz nasze lzy. Ale ty mi praw o niej i jej śmierci, bo choćbym do północka słuchała, nigdy nie będzie mi tego dosyć.

I wzięła go na stronę, tak, jak poprzednio brał go pan z Taczewa. Ci z gości, którzy nie znali Zbyszka, poczęli dopytywać o jego przygody i w ten sposób przez jakiś czas wszyscy rozmawiali tylko o nim, o Danusi i o Jurandzie. Dopytywali się także posłowie krzyżaccy, Frydrych von Wenden, komtur toruński, wysłany na spotkanie króla, i Jan von Schönfeld, komtur z Osterody. Ten ostatni, Niemiec, ale rodem ze Śląska, umiejąc dobrze po polsku, z łatwością dopytał, o co chodzi, i wysłuchawszy opowieści z ust Jaśka z Zabierza, dworzanina księcia Janusza, rzekł:

— Danveld i de Löwe byli samemu mistrzowi podejrzani, że zajmowali się czarną magią.

Poczem pomiarkował wnet, że jednak opowiadanie podobnych rzeczy mogło rzucić na cały

Zakon cień taki, jaki padł swego czasu na Templaryuszów, i dodał prędko:

— Tak przynajmniej bajczarze prawili, ale to nie była prawda, bo takich niemasz między nami.

Lecz stojący w pobliżu pan z Taczewa odpowiedział:

— Komu wadził chrzest Litwy, tego może mierzić i krzyż.

— My krzyż na płaszczach nosim — odpowiedział z dumą Schönfeld.

Na to zaś Powala:

— A trzeba go nosić w sercach.

Tymczasem zagrały trąby jeszcze rozgłośniej i nadszedł król, a z nim razem arcybiskup gnieźnieński, biskup krakowski, biskup plocki, kasztelan krakowski i kilku innych dygnitarzy i dworzan, między którymi był i Zyndram z Maszkowie herbu Słońce i młody książę Jamont, przyboczny pański. Król mało się zmienił od czasu, jak go Zbyszko nie widział. Na jagodach miał takie same mocne rumieńce, takie same długie włosy, które co chwila zakładał za uszy, i tak samo niespokojnie strzelające oczy. Zdawało się tylko Zbyszkowi, że więcej ma w sobie powagi i więcej majestatu, jak gdyby się już czuł pewniejszy na tym tronie, który po śmierci królowej chciał był zrazu

Januszową, nie mógł dotychczas zbliżyć się do dziewczyny, więc ona sama, korzystając z zamieszania, jakie wywołało przybycie króla, przysła ku niemu.

— Zbyszku, — powtórzyła — niech cię pocieszy Bóg i Najświętsza Panna.

— Bóg wam zapłać — odpowiedział rycerz.

I spojrział z wdzięcznością w jej modre oczy, które w tej chwili przesłoniły się jakby rosą. Poczem stali przed sobą w milczeniu, bo choć ona przysła do niego, jak dobra i smutna siostra, wydała mu się jednak w swej królewskiej postawie i w świetnych dworskich szatach tak inną od dawnej Jagienki, że w pierwszej chwili nie śmiał nawet mówić jej: ty, jak ongi w Zgorzelicach i w Bogdańcu. Ona zaś myślała, że po tych słowach, które wyrzekła, nie ma mu nic więcej do powiedzenia.

I aż zakłopotanie odbiło się na ich twarzach. Ale w tej chwili rum uczynił się na dziedzińcu, albowiem król zasiadł do wieczerzy. Do Zbyszka zbliżyła się znów księżna Januszowa i rzekła:

— Żałośliwa to będzie dla nas obojga uczta, ale mi służ, jakoś dawniej służywał.

Więc młody rycerz musiał odejść od Jagienki, i gdy goście zasiedli, stanął przy ławce za plecami księżny, aby zmieniać miski i nale-

wać jej wody i wina. Służąc, mimowoli spoglądał kiedy niekiedy na Jagienkę, która, będąc dwórką księżny na Płocku, siedziała tuż obok niej — i również mimowoli musiał podziwiać jej urodę. Jagienka od tych kilku lat urosła znacznie, ale zmienił ją jednak nietyłe wzrost, ile powaga, której nie miała przedtem ani śladu. Dawniej, gdy w kożuszkę i z liśćmi w rozartganych włosach ganiała na koniu po borach i lasach, można ją było poczytać bogdaj za urodziwą chłopiankę, teraz na pierwszy rzut oka widać w niej było dziewczkę znacznego rodu i wielkiej krwi, taki rozlewał się w jej twarzy spokój. Zbyszko zauważył też, że znikła jej dawna wesolość, ale temu mniej się dziwił, wiedział bowiem o śmierci Zycha. Dziwiła go natomiast najwięcej ta jakowaś jej godność i z początku zdawało mu się, że to strój daje jej takie pozory. Więc spoglądał kolejno to na złotą przepaskę, która obejmowała jej białe jak śnieg czoło i ciemne włosy, spadające w dwóch warkoczach na plecy, to na niebieską obcisłą, a bramowaną purpurowym szlakiem szatę, pod którą rysowała się wyraźnie jej strzelista postać i dziewczęca pierś — i mówił sobie: «Iście prawa księżniczka!» Ale potem uznał, że to nietylko ubiór jest przyczyną odmiany i że choćby te-



raz wzięła na siebie prosty kożuch, to jużby nie potrafił jej tak lekko brać i tak być z nią śmiałym, jak dawniej.

Zauważył następnie, że rozmaici młodzi, a nawet starsi rycerze wpatrują się w nią pilnie i łakomie, a raz, gdy zmieniał przed księżną misę, spostrzegł zapatrzoną i jakby wniebowziętą twarz pana de Lorche i na ten widok uczuł na niego gniew w duszy. Nie uszedł geldryjski rycerz baczości i księżny Januszowej, która, poznawszy go, nagle rzekła:

— Widzisz: de Lorche! Pewnikiem znów się w kim kocha, bo cały olśnął.

Zaczem pochyliła się nieco nad stołem, i spojrzawszy w bok ku Jagience, rzekła:

— Wiera, że gasną inne świece przy tej pochodni.

Zbyszka ciągnęło jednak do Jagienki, gdyż wydała mu się jakby kochająca i kochana krewna i czuł, że lepszej spółniczki do smutku i większej litości w niczyjem sercu nie znajdzie, ale tego wieczoru nie mógł do niej więcej przemówić, a to dlatego, że był zajęty służbą, a powtóre, że przez cały czas uczy gądkowie śpiewali pieśni, albo trąby czyniły tak hałaśliwą muzykę, że ci nawet, którzy kolo siebie siedzieli, zaledwie mogli się dosłyszeć. Obie też księżne, a z niemi niewiasty, wstały wcześniej

od stołów od króla, książąt i rycerzy, którzy mieli zwyczaj do późna w noc zabawiać się kielichami. Jagience, która niosła poduszkę do siedzenia dla księżny, nijako się było zatrzymać, więc odeszła także, tylko na odchodnym uśmiechnęła się znów Zbyszkowi i skinęła mu głową.

Późno dopiero przede dniem młody rycerz, pan de Lorche i dwaj ich giermkowie wracali do gospody. Czas jakiś szli pogrążeni w myślach, ale gdy już byli niedaleko domu, de Lorche począł coś mówić do swego giermka, Pomorzanina, umiającego dobrze po polsku, a ten zwrócił się następnie do Zbyszka:

— Pan mój chciałby o coś Waszą Miłość zapytać.

— Dobrze — odpowiedział Zbyszko.

Wówczas tamci znów pogadali chwilę z sobą, poczem Pomorzanin, uśmiechając się nieco pod wąsem, rzekł:

— Pan mój chciałby spytać: czy to jest pewna, że ta panna, z którą Wasza Miłość rozmawiała przed ucztą, jest śmiertelna, czyli też to jest właśnie anioł, albo święta?

— Powiedz twemu panu, — odpowiedział z pewną niecierpliwością Zbyszko — że już mnie drzewiej tak samo pytał i że aż mi cudnie tego słuchać. Bo jakże: w Spychowie mó-

wił mi, że się na dwór księcia Witoldowy dla urody Litwinek wybiera, potem skroś tejże przychyny chciał jechać do Płocka, w Płocku dziś chciał rycerza z Taczewa dla Agnieszki z Długolasu pozywać, a teraz znów w inną godzi. Zali taka to u niego stateczność i taka rycerska wiara?

Pan de Lorche wysłuchał tej odpowiedzi z ust swego Pomorzycyka, westchnął głęboko, popatrzył chwilę w błędzące nocne niebo i tak na zarzuty Zbyszkowe odpowiedział:

— Słusznie mówisz. Ni statku, ni wiary! bom jest człek grzeszny i niegodny ostróg rycerskich nosić. Co do panny Agnieszki z Długolasu — prawda, ślubowałem jej i Bóg da, że wytrwam, ale uważ, jak cię wzruszę, gdy ci opowiem, jak okrutnie ze mną w Czerskim zamku postąpiła.

Tu znów westchnął, znów spojrzal w niebo, na którego wschodzie czyniła się coraz jaśniejsza smuga, i poczekawszy, dopóki Pomorzanin nie przetłómaczy jego słów, tak dalej po chwili mówił:

— Powiedziała mi, że wrogiem jej jest pewien czarnoksiężnik, w wieży wśród lasów mieszkający, który corocznie smoka przeciw niej wysyła, a ów podchodzi każdej wiosny pod mury czerskie i patrzy, czyby jej pochwycić

nie zdołał. Co gdy rzekła, wraz oświadczyłem, że będę walczył ze smokiem. Ach! uważ, co dalej opowiem: gdym stanął na wskazanem miejscu, ujrzałem okropną potworę, czekającą mnie nieruchomie, i radość zalała mi duszę, bom myślał, że albo polegnę, albo dziewicę z plugawej paszczy ocaleę i nieśmiertelną sławę pozyskam. Ale gdym natarł z blizka kopią na poczwarę, cóżem, jak mniemasz, ujrzał? Oto wielki wór słomy na drewnianych kolkach, z ogonem z powrósel! I śmiech ludzki, nie sławę, zyskałem i aż dwóch mazowieckich rycerzy musiałem potem pozwać, od których obu ciężki szwank w szrankach poniosłem. Tak postąpiła ze mną ta, którąm nad wszystkie uwielbił i jedną jedyną kochać chciałem...

Pomorzanin, tłómacząc słowa rycerza, wypychał językiem od środka policzki i chwilami przygryzał go, aby nie parsknąć, a i Zbyszko w innych czasach byłby się roześmiał z pewnością, ale że boleść i niedola wyszlamowały w nim do cna wesolość, więc odrzekł poważnie:

— Może z pustoty to jeno uczyniła, nie ze złości.

— To też jej przebaczyłem — odpowiedział de Lorche — a najlepszy dowód masz w tem,

żem się z rycerzem z Taczewa chciał o jej piękność i cnotę potykać.

— Nie czyń tego — rzekł jeszcze poważniej Zbyszko.

— Ja wiem, że to śmierć, ale wolej mi poledz, niż żyć w ciągłym smutku i strapieniu...

— Panu Powale już takie rzeczy nie w głowie. Pójdź lepiej jutro ze mną do niego i zawrzyj z nim przyjaźń...

— Tak i postąpię, bo mnie do serca przycisnął, ale on jutro na łowy z królem jedzie.

— To pójdziem zrania. Król miłuje łowy, atoli i wywczasem nie gardzi, a dziś do późna biesiadował.

I tak uczynili, ale napróżno, gdyż Czech, który jeszcze przed nimi na ganek pospieszył, aby się widzieć z Jagienką, oznajmił im, że Powala spał nie u siebie tej nocy, jeno na pokojach królewskich. Oplacił im się wszelako zawód, bo spotkał ich księżę Janusz i kazał im się do swego orszaku przyłączyć, przez co mogli wziąć udział w łowach. Jadąc ku puszczy, znalazł też Zbyszko sposobność rozmówienia się z kniazem Jamontem, który powiedział mu dobrą nowinę.

— Rozbierając króla do łoża — rzekł — przypomniałem mu ciebie i twoją krakowską przygodę. A że był przytem rycerz Powala,

więc zaraz przydał, że ci stryjca Krzyżaki chy-  
cily, i prosił króla, aby się o niego upomniał.  
Król, który okrutnie jest na nich za porwanie  
małego Jaśka z Kretkowa i za inne napaści za-  
gniewan, rozsierdził się jeszcze więcej. «Nie  
z dobrem słowem (powiada) by do nich, ale  
z dzidą! z dzidą! z dzidą!» A Powala umyślnie  
drew na ów ogień dorzuczał. Rano też, gdy po-  
słowie krzyżaccy czekali przy bramie, ani ci  
na nich król spojrzal, chociaż się do ziemi kla-  
niali. Hej! nie wydobędą oni z niego teraz obie-  
tnicy, iże nie będzie kniazia Witolda wspomagał — i nie będą wiedzieli, co począć. Ale ty  
bądź pewien, że o twego stryjca nie zaniecha  
król samego mistrza przycisnąć.

I tak pocieszył jego duszę kniazik Jamont,  
a jeszcze bardziej pocieszyła ją Jagienka, która,  
towarzysząc księżnie Ziemowitowej do puszczy,  
postarała się o to, aby z powrotem jechać obok  
Zbyszka. Podczas łowów bywała wielka swo-  
boda, wracano przeto zwykle parami, a że nie  
chodziło o to żadnej parze, by być zbyt blisko  
drugiej, więc można się było rozmówić swobo-  
dnie. Jagienka dowiedziała się już poprzednio  
o Maćkowej niewoli od Czecha i nie straciła  
czasu. Na jej prośbę dała księżna list do mi-  
strza, a prócz tego wymogła, że nadmieni o tem  
i komtur toruński von Wenden w piśmie, w któ-

rem zdawał sprawę z tego, co w Płocku się dzieje. Chwalił się on sam przed księżną, iż dopisał, że: «chcąc króla udobruchać, nie można mu w tej sprawie czynić trudności». A mistrzowi chodziło wielce w tej chwili o to, aby jak najbardziej potężnego władcę udobruchać i z całkowitem bezpieczeństwem obrócić wszystkie siły na Witolda, z którym Zakon istotnie nie umiał sobie dotychczas dać rady.

— I tak, com mogła, tom wskórała, bacząc, aby zaś nie było mitręgi — kończyła Jagienka; — a że król, nie chcąc siostrze w wielkich sprawach ustąpić, będzie się pewnie starał wygodzić jej choć w mniejszych, przeto mam jako najlepszą nadzieję.

— Żeby nie z tak zdrażliwymi ludźmi sprawa, — odpowiedział Zbyszko — tobym po prostu odwiózł okup i na temby się skończyło, z nimi wszelako może się przygodzić, jako się Tolimie przygodziło, że i pieniądze zagrabią i temu, co je przywiózł, nie przepuszczą, jeśli za nim jakowaś potęga nie stoi.

— Rozumiem — odrzekła Jagienka.

— Wy teraz wszystko rozumiecie — zauważył Zbyszko — i pókim żyw, wdzięczen wam będę.

A ona, podniósłszy na niego swe smutne i dobre oczy, zapytała:

— Czemu zaś nie mówisz mi: ty, jako znajomce od małego.

— Nie wiem — odpowiedział szczerze. — Coś mi nielacno... i wyście już nie ten dawny skrzat, jakoście bywali, jeno... niby... coś całkiem...

I nie umiał znaleźć porównania, ale ona przerwała mu wysilek i rzekła:

— Bo mi kilka років przybyło... a Niemce i mnie rodzica na Śląsku zabiły.

— Prawda! — odrzekł Zbyszko. — Daj mu Boże światłość wiekuistą.

Czas jakiś jechali cicho obok siebie, zamysłeni i jakby zasluchani w nieszporny szum sosen, poczem ona spytała znowu:

— A po wykupnie Maćka ostanie w tych stronach?

Zbyszko spojrzal na nią, jakby ze zdziwieniem, gdyż dotąd oddany był tak wyłącznie żalowi i smutkom, że ani do głowy nie przyszło mu pomyśleć o tem, co będzie później. Więc podniósł oczy w górę, jakby się namysławiając, a po chwili odrzekł:

— Nie wiem! Chryste miłosierny! skądże mam wiedzieć? To jeno wiem, że gdzie powędruję, tam i dola moja pójdzie za mną. Hej! ciężka dola!... Stryja wykupię, a potem chyba



do Witolda pójdę, ślubów przeciw Krzyżakom dopełnić — i może zginę.

A na to zamglily się oczy dziewczyny, i pochyliwszy się nieco ku młodziankowi, zaczęła mówić z cicha, jakby z prośbą:

— Nie giń, nie giń!

I znów przestali rozmawiać, aż dopiero pod samymi murami miasta Zbyszko otrząsnął się z myśli, które go gryzły, i rzekł:

— A wy... a ty останiesz tu przy dworze?

— Nie — odpowiedziała. — Cni mi się bez braci i bez Zgorzelic. Cztan i Wilk musieli się tam już pożenić, a chociażby i nie, to się już ich nie boję.

— Da Bóg, że cię stryj Maćko do Zgorzelic odwiezie. Taki on ci przyjaciel, że we wszystkim możesz się na niego zdać. Ale i ty o nim pamiętaj...

— Święcie ci to przyrzekam, że mu będę jako rodzone dziecko...

I po tych słowach rozplakała się na dobre, bo w sercu uczyniło się jej ogromnie smutno.

\* \* \*

Nazajutrz dzień Powała z Taczewa przyszedł do gospody Zbyszka i rzekł mu:

— Po Bożem Ciele król zaraz do Raciążka wyjeżdża na spotkanie z wielkim mistrzem, a tyś

jest do rycerzy królewskich zaliczon i razem z nami ruszysz.

A Zbyszko aż się splonił z uciechy po tych słowach, nietylko bowiem ubezpieczało go to zaliczenie do rycerzy królewskich od zrad i podstępów krzyżackich, ale okrywało go chwałą niezmierną. Należał przecie do tych rycerzy i Zawisza Czarny, i bracia jego Farurej i Kruczek, i sam Powala, i Krzon z Kozichglów, i Stach z Charbimowie, i Paszko Złodziej z Biskupic, i Lis z Targowiska, i wielu innych strasznych, najslawniejszych, o których wiedziano w kraju i za granicą. Niewielki ich zastęp wziął król Jagiello z sobą, bo niektórzy w domu zostali, a inni szukali przygód w zamorskich, odległych krajach, ale to wiedział, że i z tymi mógł, nie lękając się zdrady krzyżackiej, choćby do Malborga jechać, gdyż w razie czego mury pokruszyliby potężnymi ramiony i wysiekli mu drogę wśród Niemców. Mogło też zapłonąć dumą młode Zbyszkowe serce na myśl, że takich będzie miał towarzyszków.

Więc Zbyszko w pierwszej chwili zapomniał nawet o swoim żalu i ściskając ręce Powaly z Taczewa, mówił do niego z radością:

— Wam to, nie komu, winienem, panie, wam! wam!

— Mnie w części — odrzekł Powala —

w części tutejszej księżnie, ale najbardziej Panu naszemu Miłosciwemu, którego idź zaraz podjąć pod nogi, by cię zaś o niewdzięczność nie posądził.

— Jakom dla niego zginąć gotów, tak mi dopomóż Bóg! — zawołał Zbyszko.

---

### LXIII.

Zjazd na wyspie wiślanej w Raciążku, na który król udał się koło Bożego Ciała, odbywał się pod złą wróżbą i nie doprowadził do takiej zgody i załatwienia różnych spraw, jak te, które w tem samem miejscu odbyły się we dwa lata później i na których odzyskał król zastawioną zdradliwie przez Opolczyka Krzyżakom ziemię Dobrzyńską wraz z Dobrzyniem i Bobrownikami. Jagiello przybył rozdrażnion wielce obmową, jakiej dopuszczali się względem niego Krzyżacy po dworach zachodnich i w samym Rzymie, a zarazem zgniewany nieuczciwością Zakonu. Mistrz nie chciał układów o Dobrzyń prowadzić, czynił to zaś umyślnie i zarówno on sam, jak inni dygnitarze zakonnicy powtarzali codziennie Polakom: — «Wojny ni z wami, ni z Litwą nie chcemy, ale Żmujdź nasza, bo sam Witold nam ją oddał. Obiecnijcie, iż nie będziecie mu pomagali, to wojna z nim prędzej się skończy, a wówczas pora będzie gadać o Dobrzyniu

i siła wam ustępstw poczynimy». Ale rajcy królewscy, mając bystry, doświadczony rozum i znając kłamstwo krzyżackie, nie dawali się zdurzyć. — «Gdy w potęgę wzrosiecie, zuchwalości wam jeszcze przybędzie — odpowiadali mistrzowi. — Mówicie, że nie wam do Litwy, a Skirgiellę chcecie na stolcu w Wilnie posadzić. Ależ na miły Bóg! wždy to Jagiellowe dziedzictwo, który jeden, kogo chce, księciem na Litwie stanowi, przeto się hamujcie, aby was nie pokarał nasz wielki król!» Na co mistrz mówił, że jeśli król jest prawdziwym panem Litwy, niechże nakaze Witoldowi, by wojny zaniechał i Zakonowi Żmujdź wrócił, gdyż inaczej Zakon musi uderzyć w Witolda tam, gdzie go dosięgnąć i zranić może. I w ten sposób spory wlekły się od rana do wieczora, jakoby błędną drogą, idącą w kółko. Król, nie chcąc się do niczego zobowiązać, niecierpliwił się coraz bardziej i mówił mistrzowi, że gdyby Żmujdź była pod krzyżacką ręką szczęśliwa, nie poruszyłby się Witold i jednym palcem, bo nie znalazłby ni pozoru, ni przyczyny. Mistrz, który był człowiekiem spokojnym i lepiej od innych braci zdawał sobie sprawę z potęgi Jagiellowej, starał się króla ulagodzić i, nie zważając na szemranie niektórych dumnych i zapalczywych komturów, nie szczędził pochlebnych słów, a chwilami ude-

rzał i w pokorę. Ale że nawet w tej pokorze nieraz odzywały się ukryte pogroźki, przeto nie wiodło to do niczego. Układy o rzeczy ważne rozchwiały się prędko i drugiego już dnia poczęto mówić tylko o sprawach pomniejszych. Natarł król ostro na Zakon o utrzymywanie kup lotrów, o napaści i grabieże nad granicą, o porwanie Jurandówny i małego Jaśka z Kretkowa, o mordowanie kmieciów i rybaków. Mistrz wypierał się, wykręcał, przysięgał, że to było bez jego wiedzy i wzajem wyrzuty czynił, że nie tylko Witold, ale i rycerze polscy pomagali pogańskim Żmujdzinom przeciw Krzyżowi, na dowód czego przytoczył Maćka z Bogdańca. Szczęściem wiedział już król przez Powalę, czego rycerze z Bogdańca szukali na Żmujdzi i umiał na zarzut odpowiedzieć, tem łatwiej, że w orszaku jego był Zbyszko, a w mistrzowym obaj von Badenowie, którzy przybyli w tej nadziei, że zdarzy im się może z Polakami w szrankach potykać.

Ale nie było i tego. Chcieli Krzyżacy w razie, gdyby im gładko poszło, zaprosić wielkiego króla do Torunia i tam przez kilka dni wyprawiać na jego cześć uczyty i igrzyszka, ale wobec nieudanych układów, które zrodziły zobopólną niechęć i gniew, brakło do zabaw ochoty. Na boku tylko w porannych godzinach między

sobą popisywali się nieco wzajem rycerze siłą i zręcznością, lecz, jak mówił wesoly książę Jamont, poszło i to pod włos Krzyżakom, gdyż Powąła z Taczewa okazał się tęższym na rękę od Arnolda von Baden, Dobek z Oleśnicy kopią, a Lis z Targowiska skakaniem przez konie wszystkich przewyższył. Przy tej sposobności porozumiewał się Zbyszko z Arnoldem von Baden o okup. De Lorche, który jako grabia i pan wielkiego znaczenia, patrzył na Arnolda z góry, sprzeciwiał się temu, twierdząc, iż sam wszystko na siebie bierze. Zbyszko jednak mniemał, że cześć rycerska nakazuje mu zapłacić tę ilość grzywien, do której się zobowiązał, i dlatego, chociaż sam Arnold chciał spuścić z ceny, nie przyjął ani tego ustępstwa, ani pośrednictwa pana de Lorche.

Arnold von Baden był człowiekiem dość prostym, którego największą zaletę stanowiła olbrzymia siła ramienia, dość głupowatym, nieco na pieniądze łakomym, ale prawie uczciwym. Nie było w nim chytrności krzyżackiej i dlatego nie ukrywał przed Zbyszkiem, z jakiej przyczyny chce spuścić z umówionej ceny. «Do układów — mówił — między wielkim królem a mistrzem nie przyjdzie, ale przyjdzie do wymiany jeńców, a w takim razie będziesz mógł stryja darmo odebrać. Ja wolę wziąć coś, niż nic, gdyż mie-

szek u mnie zawsze próżny i nieraz ledwie na trzy garnce piwa dziennie wstrzyma, zaś bez pięciu lub sześciu krzywda mi!» — Lecz Zbyszko gniewał się na niego za takie słowa. «Placę, bom dał rycerskie słowo, a taniej nie chcę, abyś wiedział, żeśmy tyle warci». Na to ściszał go Arnold, a rycerze, i polscy, i krzyżaccy, chwaili go, mówiąc: «Słuszna, iż w tak młodych latach pas i ostrogi nosi, bo się do czci i godności poczuwa».

Tymczasem król z mistrzem ułożyli się istotnie o wymianę jeńców, przyczem ukazały się dziwne rzeczy, o których biskupi i dygnitarze królestwa pisali później listy do papieża i różnych dworów: oto w rękach polskich sporo było wprawdzie jeńców, ale byli to mężowie dorośli w sile wieku, wzięci zbrojną ręką w nadgranicznych bitwach i potyczkach; tymczasem w rękach krzyżackich znajdowała się większość niewiast i dzieci, pojmanych wśród nocnych napadów dla okupu. Sam papież w Rzymie zwrócił na to swoją uwagę i pomimo całej przebiegłości Jana von Felde, prokuratora krzyżackiego w stolicy apostolskiej, głośno wyrażał swój gniew i oburzenie na Zakon.

Co do Maćka, były trudności. Nie czynił ich mistrz naprawdę, ale tylko pozornie, aby każdemu ustępstwu przydać wagi. Twierdził więc,



że rycerz chrześcijanin, który wojował razem ze Żmujdzinami przeciw Zakonowi, powinien być po sprawiedliwości skazan na śmierć. Próżno rajcy królewscy przytaczali na nowo wszystko, co im było wiadomem o Jurandzie i jego córce, oraz o straszliwych krzywdach, jakich się względem tych dwojga i względem rycerzy z Bogdańca dopuścili słudzy Zakonu. Mistrz w odpowiedzi przytoczył dziwnym trafem te same prawie słowa, które powiedziała w swoim czasie księżna Aleksandra Ziemowitowa do staro rycerza z Bogdańca:

— Za baranków się podajecie, a naszych za wilków. Tymczasem z tych czterech wilków, którzy w porwaniu Jurandówny wzięli udział, ani jeden nie żywie, a barankowie chodzą przez pieczone po świecie.

I była to prawda, wszelako na tę prawdę odpowiedział obecny przy obradach pan z Tarczewa następującem pytaniem:

— Tak, ale czy zabito którego zdradą? i zali ci, którzy polegli, nie polegli wszyscy z mieczami w ręku?

Mistrz nie miał co na to odrzec, a gdy spostrzegł przytem, że król poczyna marszczyć się i błyskać oczyma, ustąpił, nie chcąc doprowadzić groźnego władcy do wybuchu. Uradzono potem, że każda strona wyśle posłów po odbiór

jeńców. Ze strony polskiej mianowani zostali w tym celu Zyndram z Maszkowic, który pragnął się potędze krzyżackiej z blizka przypatrzeć i rycerz Powalą, a z nimi razem Zbyszko z Bogdańca.

Zbyszkowi usługę tę oddał książę Jamont. Przyczynił się za nim do króla w tej myśli, że młodzian i zobaczy prędzej stryjca i tem pewniej go odwiezie, gdy pojedzie po niego, jako poseł królewski. A król nie odmówił prośbie książka, który z powodu swej wesomości, dobroci i cudnego oblicza był i jego i całego dworu ulubieńcem, a przytem nigdy o nic dla siebie nie prosił. Zbyszko dziękował mu też z całej duszy, gdyż teraz był już zupełnie pewien, że Maćka z rąk krzyżackich wydostanie.

— Tobie nie jeden zajrzy — mówił mu — że przy majestacie zostajesz, ale to sprawiedliwie tak jest, bo jeno na dobro ludzkie swojej podufalności z królem używasz i lepszego nad cię serca nikt chyba nie ma.

— Przy majestacie dobrze — odrzekł bojarzynek — ale jabyłm jeszcze wolał w pole ku Krzyżakom i tego tobie zajrzę, żeś w nich już bijal.

Po chwili zaś dodał:

— Komtur toruński von Wenden przyjechał wczoraj, a dziś w wieczór pojedziecie do

niego na noc z mistrzem i z mistrzowym orszakiem.

— A potem do Malborga.

— A potem do Malborga.

Tu kniaź Jamont począł się śmiać:

— Niedaleka to będzie droga, ale kwaśna, bo nie od króla nie potrafili Niemcy uzyskać, a z Witoldem nie będą mieli też uciechy. Zebrał ci on pono całą potęgę litewską i na Żmujdź idzie.

— Jeśli go król wspomůže, to będzie wielka wojna.

— Proszą o to Pana Boga wszyscy nasi rycerze. Ale choćby król z żalu nad krwią krześcijańską wielkiej wojny nie uczynił, wspomůže Witolda zbożem i pieniędzmi, a nie bez tego także, aby coś polskich rycerzy na ochotnika do niego nie poszło.

— Jako żywo — odpowiedział Zbyszko. — A może za to sam Zakon wypowie królowi wojnę?

— Ej nie! — odpowiedział kniaź — póki dzisiaj mistrz żywie, nie będzie tego.

I miał słuszność. Zbyszko znał już mistrza dawniej, ale teraz, po drodze do Malborga, będąc razem z Zyndramem z Maszkowic i z Powalą prawie ciągle przy jego boku, mógł mu się lepiej przypatrzeć i lepiej go przeznaczyć. Owóż

ta podróż utwierdziła go tylko w przekonaniu, że wielki mistrz, Konrad von Jungingen, nie był złym i zepsutym człowiekiem. Musiał on często postępować w sposób nieprawy, gdyż cały Zakon krzyżacki stał na nieprawości. Musiał czynić krzywdy, bo cały Zakon zbudowany był na ludzkiej krzywdzie. Musiał kłamać, bo kłamstwo odziedziczył razem z oznakami mistrzostwa, a od wczesnych lat przywykł uważać je tylko za polityczną przebiegłość. Ale nie był okrutnikiem, bał się sądu Bożego i ile mógł, hamował pychę i zuchwałość tych dygnitarzy zakonnych, którzy pchali umyślnie do wojny z potęgą Jagiellową. Był jednakże człowiekiem słabym. Zakon tak dalece przywykł od całych wieków czyhać na cudze, grabić, zabierać siłą lub podstępem przyległe ziemie, że Konrad nie tylko nie umiał powściągnąć tego drapieżnego głodu, ale mimowoli, siłą nabytego popędu, sam poddawał mu się i usiłował go zaspokoić. Dalekie też były już czasy Winrycha von Kniprode, czasy należytej karności, którą Zakon wprawiał w podziwienie świat cały. Już za poprzedniego przed Jungingenem mistrza, Konrada Wallenroda Zakon upoił się własną coraz wzrastającą potęgą, której nie zdołały osłabić chwilowe klęski, odurzył się sławą, powodzeniem, krwią ludzką tak, że rozluźniły się karby, które

trzymały go w sile i jedności. Mistrz przestrzegał, ile mógł, prawa i sprawiedliwości, ile mógł, łagodził osobiście żelazną ręką Zakonu, ciężącą na chłopach, mieszczanach, a nawet na duchowieństwie i szlachcie, siedzącej na prawie lennem w ziemiach krzyżackich, więc w pobliżu Malborka ten i ów kmieć albo mieszczanin mógł się pochwalić nie tylko dostatkami, lecz i bogactwem. Ale w dalszych ziemiach samowola, srogość i rozpasanie komturów deptały prawo, szerzyły ucisk i zdzierstwa, wyciskały z pomocą nakładanych na własną rękę podatków, albo i bez wszelkiego pozorów ostatni grosz, wyciskały łzy, często krew, tak, że w całych obszernych krainach jeden był łąk, jedna nędza i jedna skarga. Jeśli nawet dobro Zakonu nakazywało, jak chwilami na Żmujdzi, większą łagodność, i takie nakazy szły wniwecz wobec niesforności komturów i przyrodzonego im okrucieństwa. Czuł się więc Konrad von Jungingen naby woźnicą, który rozhukanymi powodując końmi, wypuścił lejce z rąk i zdał wóz na wolę losu. Często też opanowywały jego duszę złe przeczucia, często przychodziły mu na myśl prorocze słowa: «Postanowilem ich pszczołami pożyteczności i utwierdziłem na progu ziem chrześcijańskich, ale oto powstał przeciw mnie. Bo nie dbają o duszę i nie litują się ciała tego

ludu, który z błędu nawrócił się ku wierze katolickiej i ku mnie. I uczynili z niego niewolników i nie nauczając go przykazań Bożych i odejmując mu sakramenta święte, na większe jeszcze piekielne męki go skazują, niż gdyby był w pogaństwie pozostał. A wojny toczą ku rozpostarceniu swej chciwości. Przeto przyjdzie czas, iżę wylamane im będą zęby i będzie ucięta im ręka prawa, a prawa noga im ochromieje, aby uznali grzechy swoje».

Mistrz wiedział, że owe wyrzuty, które tajemniczy głos uczynił Krzyżakom w objawieniu świętej Brygidy, były słuszne. Rozumiał, że gmach, zbudowany na cudzej ziemi i cudzej krzywdzie, wsparty na kłamstwie, podstępie, srogości, nie może się długo ostać. Bał się, że podmywany od lat całych krwią i łzami, runie od jednego uderzenia potężnej ręki polskiej; przeczuwał, że wóz, który ciągną rozhukane konie, musi skończyć w przepaści, więc starał się, aby przynajmniej godzina sądu, gniewu, klęski i nędzy przyszła jak najpóźniej. Z tej przyczyny pomimo swej słabości w jednym tylko stawiał niezłomny opór swym dumnym i zuchwałym rajcom: oto nie dopuszczał do walki z Polską. Próżno zarzucano mu bojaźń i niedołęstwo, próżno pogranicznicy komturowie parli wszelkiemi siłami do wojny. On, gdy ogień miał już, już

wybuchnąć, cofał się zawsze w ostatniej chwili, a potem Bogu czynił dzięki w Malborgu, że mu się udało miecz podniesiony nad głową Zakonu zatrzymać.

Ale wiedział, że do tego przyjść musi. Więc owo przeświadczenie, że Zakon stoi nie na prawie Bożem, ale na nieprawości i kłamstwie i owo przeczucie blizkiego dnia zaguby czyniło go jednym z najbardziej nieszczęsnych ludzi w świecie. Byłby niechybnie dał życie i krew, gdyby mogło być inaczej i gdyby czas był jeszcze zawrócić na prawą drogę, ale sam czuł, że już nie czas! Zawrócić — toby znaczyło oddać prawym posiadaczom całe ziemie żyzne, bogate i pochwycone przez Zakon od Bóg wie, jak dawna, a z nimi razem mnóstwo miast tak bogatych, jak Gdańsk. I nie dość! To znaczyło wyrzec się Żmujdzi, wyrzec się zamachów na Litwę, włożyć miecz do pochew, wreszcie całkiem wynieść się z tych krain, w których Zakon nie miał już kogo nawracać, i osiąść chyba znów w Palestynie, lub na której z wysp greckich, aby tam Krzyża od prawdziwych bronić Saracenów. Ale było to niepodobieństwem, gdyż równałoby się wyrokowi zagłady na Zakon. Ktoby się na to zgodził? i jakiż mistrz mógł czegoś podobnego zażądać? Konradowi von Jungingen zawłóczyła się cieniem dusza i życie, ale czło-

wieka, któryby z podobną radą wystąpił, on pierwszy skazałby, jako pozbawionego zmysłów, na ciemną izbę. Trzeba było iść dalej i dalej, aż do dnia, w którym sam Bóg kres zaznaczy.

Więc szedł, ale w dusznej trosce i smutku. Włos na brodzie i skroniach już mu się posrebrzył, a bystre niegdyś oczy pokryły się do połowy ocieżałemi powiekami. Zbyszko ani razu nie dostrzegł na jego twarzy uśmiechu. Oblicze mistrzowe nie było groźne, ani nawet chmurne, było tylko jakby zmęczone jakimś cichem cierpieniem. W zbroi, z krzyżem na piersiach, w środku którego był w czworokącie czarny orzeł w białym wielkim płaszczu, również przyozdobionym krzyżem, czynił wrażenie majestatu i smutku. Konrad niegdyś wesoly był i kochał się w krotofilach, a i teraz nawet nie usuwał się od wspaniałych uczt, widowisk i turniejów, owszem sam je wyprawiał, ale ani w natłoku świetnego rycerstwa, które przybywało w gości do Malbarga, ani w zgiełku radosnym wśród huku trąb i szczęku oręża, ani przy puharach przepelnionych malmazją, nie rozweselał się nigdy. Wówczas gdy wszystko wokół niego zdawało się dyszeć potęgą, świetnością, nieprzebranem bogactwem, niezłomną mocą, gdy posłowie cesarza i innych królów zachodnich wykrzykiwali w uniesieniu, że Zakon sam starczy za



wszystkie królestwa i za potęgę całego świata, on jeden się nie łudził i on jeden pamiętał złowrogie słowa, objawione świętej Brygidzie: «Przyjdzie czas, iżę wylamane będą ich zęby i będzie ucięta ręka prawa, a prawa noga im ochromieje, aby uznali grzechy swoje».

---

## LXIV.

Jechali suchą drogą na Chelmżę do Grudziądza, gdzie zatrzymali się na noc i dzień, gdyż wielki mistrz miał tam do osądzenia sprawę o rybolówstwo między zamkowym starostą krzyżackim a okoliczną szlachtą, której ziemie przylegały do Wisły. Stamtąd płynęli na skutach krzyżackich rzeką aż do Malborka. Zyndram z Maszkowic, Powała z Tarczewa i Zbyszko znajdowali się przez cały czas przy boku mistrza, który ciekawy był, jakie wrażenie uczyni zwłaszcza na Zyndramie widziana z bliska potęga krzyżacka. Chodziło zaś mistrzowi o to dlatego, że Zyndram z Maszkowic był nie tylko mężnym i strasznym w pojedynkę rycerzem, ale nadzwyczaj biegłym wojownikiem. W całym królestwie nikt tak, jak on, nie znał się na prowadzeniu wielkich wojsk, na szykowaniu hufców do bitwy, na budowie i burzeniu zamków, na rzucaniu mostów przez

szerokie rzeki, na «armacie», to jest na uzbrojeniu u rozmaitych narodów i na wszelkich wojennych sposobach. Mistrz, wiedząc, że na radzie królewskiej dużo zależało od zdania tego męża, mniemał, że jeśli zdoła go przerazić wielkość zakonnych bogactw i wojsk, to wojna odwlecze się jeszcze na długo. A przedewszystkiem sam widok Malborga mógł przejąć trwogą serce każdego Polaka, albowiem z twierdzą ową, licząc Wysoki zamek, Średni i Przedzamecze, żadna inna w całym świecie nie mogła się nawet w przybliżeniu porównać<sup>1)</sup>. Już zdala, płynąc Nogatem, ujrzeli rycerze potężne baszty, rysujące się na niebie. Dzień był jasny i przeźroczy, więc widać je było doskonale, a po jakimś czasie, gdy szkuty zbliżyły się, jeszcze bardziej rozbłysły szczyty kościoła na wysokim zamku i olbrzymie mury, piętrzące się jedne nad drugimi, w części barwy ceglanej, przeważnie jednak pokryte ową słynną szaro-białą zaprawą, którą przyrządzać umieli tylko mularze krzyżacy. Ogrom ich przewyższał wszystko, co w życiu widzieli polscy rycerze. Zdawać się mogło, że tam gmachy wy-

---

<sup>1)</sup> Do zupełnej ruiny doprowadził Malborg Fryderyk II., król pruski, po upadku Rzeczypospolitej Polskiej.

rastają na gmachach, tworząc w nizinnem z natury miejscu jakby górę, której szczytem był Stary zamek, a stokami Średni i rozłożyste Przedzamecze. Bila od tego olbrzymiego gniazda zbrojnych mnichów moc i potęga tak nadzwyczajna, że nawet długa i zwykle posępna twarz mistrza wypogodziła się nieco na ów widok.

— Ex luto Marienburg — z błota Marienburg — rzekł, zwracając się do Zyndrama; — ale tego błota moc ludzka nie pokruszy.

Zyndram nie odpowiedział i w milczeniu obejmował oczyma wszystkie baszty i ogrom murów, wzmocnionych potwornymi skarpami.

A Konrad von Jungingen dodał po chwili milczenia:

— Wy, panie, którzy się na twierdzach znać, cóż nam o tej powiecie?

— Twierdza widzi mi się nie do zdobycia — odrzekł jakby w zamyśleniu polski rycerz — ale...

— Ale co? Co w niej możecie przyganić?

— Ale każda twierdza może zmienić panów. Na to mistrz zmarszczył brwi.

— W jakiejże to myśli mówicie?

— W tej, że zakryte są przed oczyma ludzkiemi sądy i wyroki Boże.

I znów patrzył w zamyśleniu na mury, a Zby-

szo, któremu Powala przetłómaczył należycie odpowiedź, spoglądał na niego z podziwem i wdzięcznością. Uderzyło go przytem w tej chwili podobieństwo między Zyndramem a żmujdzkim wodzem Skirwojllą. Obaj mieli takie same ogromne głowy, jak gdyby wbite między szerokie ramiona, obaj równie potężne piersi i takie same pałakowate nogi.

Tymczasem mistrz, nie chcąc, by ostatnie słowo zostało przy polskim rycerzu, znów zaczął:

— Mówią — rzekł — że nasz Marienburg sześć razy większy od Wawelu.

— Tam na skale niemasz tyle miejsca, ile tu w równi, — odparł pan z Maszkowic — ale serce u nas na Wawelu większe.

Konrad podniósł ze zdziwieniem brwi:

— Nie rozumiem.

— Bo cóż ci jest sercem w każdym zamku, jeśli nie kościół? a nasza katedra za trzy takie, jak oto ów obstanie.

I to rzekłszy, wskazał istotnie niewielki kościół zamkowy, na którego prezbiterium błyszcząca na złotem tle olbrzymia mozaikowa figura Najświętszej Panny.

A mistrz znowu był nierad z takiego obrotu rozmowy:

— Prędkie, ale dziwne macie, panie, odpowiedzi — rzekl.

W tymże czasie dojechali. Wyborna policya krzyżacka uprzedziła widocznie miasto i zamek o przyjeździe wielkiego mistrza, gdyż u przeprawy czekali już, prócz kilku braci, trębacze miejscy, którzy przygrywali zwykle wielkiemu mistrzowi w czasie przewozu. Z drugiej strony czekały gotowe konie, na które siadłszy, przebył orszak miasto i przez Szewcką bramę, wedle Wróblej baszty, wjechał do Przedzamecza. W bramie witali mistrza: wielki komtur Wilhelm von Helfenstein, który zresztą tytuł już tylko nosił, albowiem od kilku miesięcy obowiązki jego sprawował naprawdę Kuno Lichtenstein, wysłan podówczas do Anglii; a dalej: wielki szpitalnik, krewny Kunona, Konrad Lichtenstein, wielki szatny Rumpenheim i wielki podskarbi Burghard von Wobecke i wreszcie mały komtur, przelożony nad warsztatami i nad zarządem zamku. Prócz tych dostojników stało tam kilkunastu braci wyświęconych, którzy zawiadowali rzeczami, dotyczącemi Kościola w Prusiech i ciężko gnębili inne klasztory, oraz świeckie duchowieństwo, zmuszając je nawet do robót przy drogach i przy łamaniu lodów — a z nimi gromada braci świeckich, to jest rycerzy, nie obowiązanych

do godzin kanonicznych. Rosłe i silne ich postawy (słabych nie chcieli Krzyżacy przyjmować), szerokie ramiona, kręte brody i srogie spojrzenia czyniły ich podobniejszymi do drapieżnych zbójów-rycerzy niemieckich, niż do mnichów. Z oczu patrzała im odwaga, hardość i pycha niezmierna. Nie lubili oni Konrada za jego obawę wojny z potęgą Jagiellową; nieraz na kapitulach otwarcie wyrzucali mu bojaźliwość, rysowali go na murach i podmawiali błaznów do wyśmiewania go w oczy. Jednakże na jego widok pochylili teraz głowy z pozorną pokorą, zwłaszcza że mistrz wjeżdżał w towarzystwie obcych rycerzy, i poskoczyli hurmem, aby powstrzymać mu konia za uzdę i strzemię.

Mistrz zaś, zsiadwszy, zwrócił się zaraz do Helfensteina i zapytał:

— Są-li jakie nowiny od Wenera von Tettingen?

Werner von Tettingen, jako wielki marszałek czyli przywódca zbrojnych sił krzyżackich, był w tej chwili na wyprawie przeciw Żmujdzinom i Witoldowi.

— Ważnych nowin niema — odpowiedział Helfenstein — ale są szkody. Dzicz popaliła osady pod Ragnetą i miasteczka przy innych zamkach.

— W Bogu nadzieja, że jedna wielka bitwa złamie ich złość i zatwardziałość — odparł mistrz.

I to rzekłszy, podniósł oczy w górę, a usta jego poruszały się przez chwilę modlitwą, którą odmawiał za powodzenie wojsk zakonnych.

Poczem ukazał na polskich rycerzy i rzekł:

— To są wysłańcy króla polskiego: rycerz z Maszkowic, rycerz z Taczewa i rycerz z Bogdańca, którzy z nami dla wymiany jeńców przybyli. Niechaj komtur zamkowy wskaże im gościnne komnaty i podejmie ich i ugości, jako przystało.

Na te słowa bracia-rycerze poczęli spoglądać z ciekawością na wysłanników, a zwłaszcza na Powalę z Taczewa, którego imię, jako słynnego zapaśnika, było niektórym znane. Tych zaś, którzy nie słyszeli o jego czynach na dworze burgundzkim, czeskim i krakowskim, przejmowała podziwem jego ogromna postawa i jego ogier bojowy, tak nadzwyczajnej wielkości, że bywalcom, którzy za młodych lat zwiedzili Ziemię Świętą i Egipt, przypominał wielbłądy i słonie.

Kilku poznało też Zbyszka, który swego czasu potykał się w szrankach w Malborgu i ci witali go dość uprzejmie, pamiętając, że potężny i mający wielką wziętość w Zakonie



brat mistrzów, Ulrych von Jungingen, okazywał mu szczerą przyjaźń i przychylność. Najmniej zwracał uwagi i podziwu ten, który w niedalekiej już przyszłości miał być najstraszliwszym pogromcą Zakonu, to jest Zyndram z Maszkowic, albowiem, gdy zsiadł z konia, wydawał się z powodu swej niezwyklej krępości i wysokich ramion prawie garbatym. Nazbyt długie jego ręce i paląkowate nogi budziły uśmiech w twarzach młodszych braci. Jeden z nich, znany krotofilnik, przystąpił nawet do niego chcąc mu przymówić, ale spojrzawszy w oczy pana z Maszkowic, stracił jakoś ochotę i odszedł w milczeniu.

Tymczasem komtur zamkowy zabrał gości i powiódł ich z sobą. Weszli naprzód na niewielki dziedziniec, na którym prócz szkoły, starego lamusa i warsztatu siodlarskiego, znajdowała się kaplica św. Mikołaja, poczem przez most Mikołajski wkroczyli na właściwe Przedzamcze. Komtur prowadził ich przez niejaki czas wśród potężnych murów, bronionych tu i ówdzie mniejszemi i większemi basztami. Zyndram z Maszkowic pilnie przypatrywał się wszystkiemu, przewodnik zaś, nawet nie zapytywany, chętnie pokazywał rozmaite budynki, jakby mu zależało właśnie na tem, aby go-

ście przypatrzyli się wszystkiemu jak najdokładniej.

— Ten okrutny gmach, który Wasze Miłościście widzicie przed sobą, po lewej ręce — mówił — to nasze stajnie. Ubodzyśmy mnisi, a przecie ludzie mówią, że gdzieindziej i rycerze tak nie mieszkają, jak u nas konie.

— Nie pomawiają was ludzie o ubóstwo — odrzekł Powala — ale coś tu musi być więcej prócz stajni, bo gmach okrutnie wysoki, a koni przecie po schodach nie sprowadzacie.

— Nad stajnią, która jest w dole i w której czterysta koni się mieści — rzekł komtur zamkowy — są śpichrze, a w nich zboża choćby na dziesięć lat. Nie przyjdzie tu nigdy do oblężenia, ale gdyby przyszło, to głodem nas nie wezmą.

To rzekłszy, zawrócił w prawo i znów przez most między basztą św. Wawrzyńca a basztą Pancerną wwiódł ich na inny dziedziniec, olbrzymi, leżący w samym środku podzamecza.

— Zważcie, Wasze Mości — rzekł Niemiec — że to wszystko, co ku północy widzicie, jakkolwiek za łaską Bożą nie do zdobycia, jest tylko «Vorburg» i utwierdzeniem nie może się porównać ani ze Srednim zamkiem, do którego Was prowadzę, ani tem bardziej z Wysokim.

Jakoż oddzielna fosa i oddzielny zwodzony most dzieliły Średni zamek od dziedzińca i dopiero w bramie zamkowej, która leżała znacznie wyżej, rycerze, obróciwszy się za poradą komtura, jeszcze raz mogli objąć oczyma cały ów olbrzymi kwadrat, zwany Podzamczem. Gmach tam wznosił się przy gmachu, tak, iż wydawało się Zyndramowi, iż widzi przed sobą całe miasto. Były tam nieprzebrane zapasy drzewa, ułożone w szychty tak wielkie, jak domy, składy kul kamienne, sterczące nakształt piramid, cmentarze, lazarety i magazyny. Nieco z boku, wedle leżącego w środku stawu, czerwieniały potężne mury «templu», to jest wielkiego magazynu z jadalnią dla najemników i czeladzi. Pod północnym wałem widać było inne stajnie dla koni rycerskich i dla wyborowych mistrzowskich. Wzdłuż młynówki wznosiły się koszary dla giermków i wojsk najemnych, a po przeciwległej stronie czworoboku mieszkania dla przeróżnych zawiadowców i urzędników zakonnych, znów składy, śpichrze, piekarnie, szatnie, ludwisarnie, niezmierny arsenał czyli Karwan, więzienia, stara puszkarnia, każdy gmach tak niezłomny i obronny, że w każdym można się było tak, jak w osobnej twierdzy, bronić, a wszystko otoczone murem i gromadą groźnych baszt, za murem fosą, za

fosą wieńcem olbrzymich palisad, za któremi dopiero, na zachód toczył żółte fale Nogat, na północ i wschód błyszczała toń ogromnego stawu, a od południa sterczały silniej jeszcze umocnione zamki: Sredni i Wysoki.

Gniazdo straszne, od którego bila nieubłagana potęga i w którym skupiły się dwie największe znane wówczas w świecie siły: siła duchowna i siła miecza. Kto oparł się jednej, tego pokruszyła druga. Kto podniósł przeciw nim ramię, na tego krzyk powstawał we wszystkich krajach chrześcijańskich, że przeciw Krzyżowi je podnosi.

I wnet rycerstwo zbiegało się ze wszystkich stron na pomoc. Gniazdo też roilo się wiecznie rzemieślniczym i zbrojnym ludem i wrzało w niem ciągle, jak w ulu. Przed gmachami, w przejściach, przy bramach, w warsztatach — wszędzie panował ruch, jak na jarmarku. Echo roznosiło odgłos młotów i dłót, krzesających kamienne kule, huczenie młynów i deptaków, rżenie koni, szczęk zbroi i oręża, dźwięk trąb i piszczałek, nawoływania i rozkazy. Na owych dziedzińcach słyzałeś wszystkie mowy świata i mogłeś napotkać żołnierzy ze wszystkich narodów: więc niechybnych łuczników angielskich, którzy o sto kroków przeszywali gołębia, uwiązanego na maszcie, a których groty przebijały

pancerze tak łatwo, jak sukno, i strasznych szwajcarskich piechurów, walczących dwuręcznymi mieczami, i mężnych, choć niepomiarkowanych w jedle i napoju Duńczyków, i skłonnych zarówno do śmiechu, jak zwady, rycerzy francuskich, i małomówną, a dumną szlachtę hiszpańską, i świetnych rycerzy włoskich, najbieglejszych fecht mistrzów, przybranych w jedwabie, aksamity, a na wojnę w niezłomne zbroje, kowane w Wenecyi, Medyolanie i Florencyi, i rycerzy burgundzkich, i Fryzów, i wreszcie Niemców ze wszystkich ziem niemieckich. Kręciły się między nimi «białe płaszcze», jako gospodarze i zwierzchnicy. «Wieża pełna złota», a ściślej: osobna izba, zbudowana na Wysokim zamku obok mieszkania mistrza, napelniona od dołu do góry pieniędzmi i sztabami z drogocennego metalu, pozwalała Zakonowi na godne podejmowanie «gości», również jak na zaciągi najemnego żołdactwa, które wysyłano stąd na wyprawy i do wszystkich zamków, do rozporządzenia wójtów, starostów i komturów. Tak to z siłą miecza i z siłą duchowną kojarzyło się tu niezmierne bogactwo, a zarazem żelazny ład, który, lubo rozluźnion już po prowincyach przez zbytnią ufność i upojenie się własną potęgą, trzymał się jeszcze w samym Malborgu mocą dawnego wezwyczajenia.

Monarchowie przybywali tu nie tylko walczyć z pogany lub pożyczać pieniędzy, lecz i uczyć się sztuki rządzenia, rycerze — uczyć się sztuki wojennej. W całym bowiem świecie nikt nie umiał tak rządzić i wojować, jak niegdyś Zakon. Gdy niegdyś przybył w te strony, prócz szczupłej okolicy i kilku zamków, podarowanych przez niebacznego księcia polskiego, nie należała do niego ani piędź ziemi, teraz zaś władał obszerną, większą od wielu królestw krainą, pełną ziem żyznych, potężnych miast i niezdobytych zamków. Władał i czuwał, jak włada pajak rozpiętą siecią, której wszystkie nici dierży pod sobą. Stąd, z tego Wysokiego zamku, od mistrza i od białych płaszców rozbiegały się przez pocztowych pacholków rozkazy na wszystkie strony: do lennejszacy, do rad miejskich, do burmistrzów, do wójtów, podwójcich i kapitanów najemnych wojsk, a co tu zrodziła i postanowiła myśl i wola, tam wnet wykonywały setki i tysiące żelaznych dłoni. Tu splywał pieniądz z całego kraju, tu zboże, tu wszelkiego rodzaju spyża, tu daniny od jęczącego pod srogiem jarzmem świeckiego duchowieństwa i od innych klasztorów, na które patrzył niechętnym okiem Zakon; stąd wreszcie wyciągały się drapieżne ramiona ku wszystkim okolicznym krajom i ludom.

Liczne pruskie, mówiące litewską mową narody starte już były z oblicza ziemi. Litwa czuła do niedawna żelazną stopę krzyżacką, ciężącą na jej piersiach tak straszliwie, że za każdym tchnieniem oddawała zarazem krew z pod serca; Polska, lubo zwycięska w straszliwej bitwie pod Płowcami, straciła jednak za Łokietkowych czasów swe dzierżawy na lewym brzegu Wisły razem z Gdańskiem, Tczewem, Gniewem i Świeciem. Rycerski Zakon Inflancki sięgał po ziemie ruskie i szły oba te zakony jak pierwsza olbrzymia fala niemieckiego morza, które zalewało coraz szerzej i szerzej słowiańskie ziemie.

Aż nagle zaszło chmurą słońce krzyżacko-niemieckiej pomyślności. Litwa przyjęła chrzest z rąk polskich, a tron krakowski razem z ręką cudnej królowny odzierżył Jagiełło. Nie utracił wprawdzie Zakon przez to ani jednej ziemi, ani jednego zamku, ale uczuł, że przeciw sile stała się siła, i stracił przyczynę, dla której istniał w Prusiech. Po chrzcie Litwy wrócić im było chyba do Palestyny i strzedz pątników, dążących do świętego miejsca. Ale wrócić — to znaczyło wyrzec się bogactw, władzy, potęgi, panowania, miast, ziem i całych królestw. Więc począł miotać się Zakon w przerażeniu i wściekłości, jak potworny smok, w którego boku

utkwilo żeleźce. Mistrz Konrad bał się stawić wszystkiego na jeden rzut kości i drżał na myśl o wojnie z wielkim królem, władcą ziem polskich, litewskich i obszernych dzierżaw ruskich, które Olgierd wydarł z gardła Tatarom, ale większość rycerzy krzyżackich parła do niej, czując, że trzeba stoczyć bój na śmierć i życie, póki siły są nienaruszone, póki urok Zakonu nie zblednie, póki świat cały spieszy mu na pomoc i póki gromy papieskie nie spadną na to ich gniazdo, dla którego rzeczą życia i śmierci było teraz nie rozszerzanie chrześcijaństwa, lecz właśnie utrzymanie pogaństwa.

A tymczasem między narodami i po dworach oskarżano Jagiellę i Litwę o chrzest pozorny i fałszywy, przedstawiając jako rzecz niepodobną, aby stać się mogło w ciągu roku to, czego miecz zakonny nie mógł przez wieki dokonać. Burzono przeciw Polsce i przeciw jej władcy królów i rycerzy, jako przeciw opiekunom i obrońcom pogaństwa, a głosy te, którym jedynie w Rzymie niedowierzano, rozchodziły się szeroką falą po świecie i ściągały ku Malborgowi książąt, grafów i rycerzy z Południa i Zachodu. Zakon nabierał ufności i poczuwał się mocy. Marienburg ze swymi groźnymi zamkami i Przedzamczem olśniewał ludzi potęgą więcej, niż kiedykolwiek — i olśniewało



bogactwo, olśniewał pozorny ład — i cały Zakon wydawał się być władniejszym i bardziej na wiek wieków niepożyty, niż dawniej. I nikt z książąt, nikt z owych rycerskich gości, nikt, prócz mistrza, nawet z pomiędzy Krzyżaków, nie rozumiał, że od czasu chrztu Litwy stało się coś takiego, jak gdyby te fale Nogatu, które osłaniały z jednej strony straszną twierdzą, zaczęły podmywać cicho i nieubłaganie jej mury. Nikt nie rozumiał, że w owem olbrzymiem ciele została jeszcze siła, ale uleciała z niego dusza; kto świeżo przybył i spojrział na ów wzniesiony «ex luto» Marienburg, na owe mury, baszty, na czarne krzyże w bramach, na budynkach i na szatach, temu przedewszystkiem przychodziło na myśl, że i bramy piekielne nie przemogą tej północnej krzyża stolicy.

Z podobną też myślą patrzyli na nią nie tylko Powala z Taczewa i Zbyszko, który tu już bywał poprzednio, lecz i wiele bystrzejszy od nich Zyndram z Maszkowic. I jemu, gdy w tej chwili spoglądał na to zbrojne rojowisko żołnierskie, objęte w ramę baszt i olbrzymich tynów, zmierzchła twarz, a na pamięć nasunęły się mimowoli dumne słowa, któremi niegdyś Krzyżacy grozili królowi Kazimierzowi:

«Większać nasza moc, i jeśli nie ustąpisz,

do samego Krakowa mieczami naszymi ścigać cię będziem».

Ale tymczasem komtur zamkowy powiódł rycerzy dalej, do Średniego zamku, w którego wschodniej połaci leżały gościnne komnaty.

---

## LXV.

Maćko i Zbyszko długi czas trzymali się w ramionach, gdyż miłowali się wzajem zawsze, a w ostatnich latach wspólne przygody i nieszczęścia uczyniły tę miłość jeszcze silniejszą. Stary rycerz od pierwszego wejrzenia na bratanka odgadł, że Danusi niema już na świecie, więc nie pytał o nic, jeno tulił do siebie młodzianka, chcąc przez moc tego uścisku pokazać mu, że nie został zupełnym sierotą i że ma jeszcze bliską żywą duszę, gotową podzielić się z nim niedolą.

Aż dopiero, gdy im smutek i boleść znacznie łzami spłynęły, zapytał po długim milczeniu Maćko:

— Zali wydarli ci ją znów, czyli też ci na rękę skonala?

— Na rękę mi skonala pod samym Spychowem — odrzekł młodzian.

I począł opowiadać, jak i co było, płaczem

i wzdychaniami przerywając sobie opowiadanie, a Maćko słuchał uważnie, wzdychał także i w końcu znów jął wypytywać:

— A Jurand żywie jeszcze?

— Juranda żywiącego odjechał, ale niedługo mu na świecie i pewnie go już nie obaczę.

— To może lepiej było nie odjeżdżać.

— Jakoże mi było was tu ostawiać?

— Parę niedziel wcześniej, alibo później, wszystko jedno!

Ale Zbyszko popatrzał na niego bacznie i rzekł:

— I tak musieliście tu chorzeć? Jako Piotrowin wyglądacie.

— Bo choć słonko na ziemi przygrzewa, w podziemiu zawsze zimno i wilgoć tam jest okrutna z takowej przyczyny, że tu naokół zamku wody. Myślałem, że do szczętu spleśnieję. Dychać też niema czem i od tego wszystkiego rana mi się odnowiła, ta, wiesz... co to mi w Bogdańcu po bobrowem sadle szczebrzuch wylazł.

— Pamiętam — rzekł Zbyszko — bośmy po bobra z Jagienką chodzili. A to was tu psu-braty w podziemiu trzymali?

Maćko poruszył głową i odpowiedział:

— Żeby ci tak szczerze rzec, to nieradzi oni mnie widzieli i już było ze mną źle. Wielka

tu jest zawziętość na Witolda i Żmujdzinów, ale jeszcze większa na tych z pomiędzy nas, którzy im pomagają. Próżnom gadał, dlaczegośmy między Żmujdzinów poszli. Byliby mi głowę ucieli, i jeśli tak nie uczynili, to jeno dlatego, że im wykupu było żal, bo jak wiesz, pieniądz im nawet i od pomsty wdzięczniejszy, a powtóre chcieli mieć w ręku dowód, że król Polaków poganom w pomoc posyła. Bo że Żmujdzini niebożęta proszą o krzest, byle nie z ich rąk, to wiemy, którzyśmy tam byli, ale Krzyżaki udają, że nie wiedzą, i skarżą ich po wszystkich dworach, a z nimi razem i naszego króla.

Tu porwała Maćka zadyszka, tak, że musiał na chwilę umilknąć, i dopiero odsapnąwszy, mówił dalej:

— I byłbym może skapiał w podziemiu. Wstawiał ci się za mną poprawdzie Arnold von Baden, któremu też o okup chodziło. Ale on nie ma między nimi nijakiej powagi i nazywają go niedźwiedziem. Szczęściem de Lorche dowiedział się o mnie od Arnolda i okrutnego zaraz narobił warchołu. Nie wiem, czy ci o tem powiadał, bo on rad kryje swoje dobre uczynki... Jego oni tu to za coś mają, bo już jeden de Lorche wielkie niegdyś w Zakonie piastował godności, a ten jest znamienitego rodu

i bogacz. Mówił im tedy, że sam jest naszym jeńcem i że gdyby mi tu gardło wzięli, albo gdybym skapiał z głodu i wilgotności, to ty jemu szyję utniesz. Groził ci kapitule, że rozpowie po zachodnich dworach, jak Krzyżacy z pasowanymi rycerzami postępują. Aż zlékli się i wzięli mnie do lazaretu, gdzie i powietrze i strawa lepsza.

— Od Lorchego jednej grzywny nie wezmę, tak mi dopomóż Bóg!

— Miło od nieprzyjaciela brać, ale przyjacielowi słuszna rzecz przepuścić — rzekł Maćko; — a skoro, jako słyszę, ugoda z królem o wymianę jeńców stanęła, to i za mnie nie potrzebujesz płacić.

— Ba! a nasze słowo rycerskie? — zapytał Zbyszko. — Ugoda ugoda, a Arnold bezecność mógłby nam zadać.

Usłyszawszy to, zatroskał się Maćko, pomyślał nieco i rzekł:

— Ale możnaby coś odtargować?

— Samiśmy się cenili. Zaliśmy to teraz mniej warci?

Maćko zatroskał się jeszcze bardziej, ale w oczach odbił się podziw i jakby jeszcze większa miłość dla Zbyszka.

— A czei potrafi strzedz!... taki ci się już urodził — mruknął sam do siebie.

I począł wzdychać. Zbyszko myślał, że z żalu o te grzywny, które mieli von Badenowi zapłacić, więc rzekł:

— Wiecie! Pieniędzy i tak jest dość, byle dola nie była taka ciężka.

— Bóg ci ją odmieni! — rzekł ze wzruszeniem stary rycerz. — Mnie tam niedługo już na świecie.

— Nie powiadajcie! Będziecie zdrowi, niech jeno was wiater przewieje.

— Wiater? Wiater młode drzewo przygnie, a stare złamie.

— Owa! nie próchnieją w was jeszcze gnaty i do starości wam daleko. Nie smućcie się!

— Żeby tobie było wesolo, to i jabym się śmiał. Wszelako mam ci ja i inną do smutku przyczynę, a prawdę rzekłszy, nietylko ja, ale i my wszyscy.

— Co zaś? — zapytał Zbyszko.

— A pamiętasz, jakom cię w obozie u Skirwojly zgromił za to, żeś moc krzyżacką sławił? W polu jużci twardy jest nasz naród, ale tak z blizka, to ja się tutejszym psubsatom dopiero teraz przypatrzył...

Tu Maćko, jakby w obawie, aby go kto nie dosłyszał, zniżył głos:

— I teraz widzę, żeś ty był praw, nie ja. Niech ręka boska broni, co to za moc, co to

za potęgą! Swędzą naszych rycerzy ręce i chce im się jak najprędzej k'Niemcom, a nie wiedzą, że Krzyżaków wszystkie narody i wszyscy królowie wspomagają, że pieniądze u nich więcej, że ćwiczenie lepsze, że zamki warowniejsze i sprzęt wojenny godniejszy. Niech ręka boska broni!... I u nas i tu mówią, że do wielkiej wojny przyjść musi i przyjdzie, ale gdy przyjdzie, to niechże Bóg zmiłuje się nad naszym królestwem i naszym narodem!

Tu objął dłońmi swą szpakowatą głowę, łokcie wsparł na kolanach i zamilkł.

Zbyszko zaś rzekł:

— A widzicie. W pojedynkę niejeden z naszych od nich tęższy, ale co do wielkiej wojny, pomiarkowaliście sami.

— Oj, pomiarkowałem! a da Bóg i ci posłowie królewscy pomiarkują także, a zwłaszcza rycerz z Maszkowic.

— Widziałem, jako spochmurniał. Wielki z niego sprawca wojenny i powiadają, że nikt na świecie nie rozumie się tak na wojnie.

— Jeśli prawda, to chyba jej nie będzie.

— Jeśli Krzyżacy obaczą, że mocniejsi, to właśnie będzie. I powiem wam szczerze: bogdaj już przyszedł wóz alibo przewóz, gdyż dłużej nie lża nam tak żyć...

I z kolei Zbyszko, jakby przygniecion nie-



dolą własną i powszechną, opuścił głowę, a Maćko rzekł:

— Szkoda zacnego królestwa, a boję się, by nas Bóg za zbytnią zuchwałość nie pokarał. Pamiętasz, jak to rycerstwo przed katedrą na Wawelu, przede mszą, wtedy, kiedy ci to mieli głowę uciąć i nie ucięli, samego Tymura Kuternogę wyzywało, którego czterdziestu królestw jest panem i którego góry z głów ludzkich uczynił... Niedość im Krzyżaków! wszystkich naraz chcieliby wyzwać i w tem może być obraza boska.

A Zbyszko na owo wspomnienie chwycił się za płowe włosy, bo go niespodzianie ogarnął żal okrutny — i zakrzyknął:

— A któż mnie wówczas od kata zratował, jeśli nie ona! O Jezu! Danuśka moja!... O Jezu!...

I począł drzeć włosy, a następnie gryźć pięści, któremi łkanie chciał potłumić, tak rozskowyczało się w nim serce z nagłego bólu.

— Chłopie! miej Boga w sercu!... cichaj! — wołał Maćko. — Co wskórasz? Hamuj się! cichaj!...

Ale Zbyszko długi czas nie mógł się uspokoić i upamiętał się dopiero, gdy Maćko, który był istotnie jeszcze chory, zesłabł tak bardzo, że zachwiał się na nogach i padł na ławę w zu-

pełnem zmysłów zamroczeniu. Wówczas młodzian położył go na tapczanie, pokrzepił winem, które przysłał komtur zamkowy i czuwał nad nim, póki stary rycerz nie zasnął.

Nazajutrz zbudzili się późno, rzeźwiejsi i wypoczęci.

— No — rzekł Maćko — chyba jeszcze na mnie nie czas i tak myślę, że byle mnie wiater polny przewiał, to i na koniu dosiedzę.

— Posłowie ostaną jeszcze kilka dni — odpowiedział Zbyszko — bo coraz to do nich ludzie przychodzą z prośbą o jeńców, którzy na Mazowszu, albo w Wielkopolsce na rozboju schwytani, ale my możemy jechać, kiedy chcecie i kiedy poczujecie się w siłach.

W tej chwili wszedł Hława.

— Nie wiesz zaś, co tam czynią posłowie? — spytał go stary rycerz.

— Zwiedzają Wysoki zamek i kościół — odrzekł Czech. — Komtur zamkowy sam ich wprowadza, a potem pójdą do wielkiego refektarza na obiad, na który i Wasze Miłość ma mistrz zaprosić.

— A ty coś od rana czynił?

— A ja przypatrywałem się niemieckiej najemnej piechocie, którą kapitanowie ćwiczyli, i przyrównywałem ją z naszą czeską.

— A ty czeską pamiętasz?

— Wyrostkiem mnie pojmał rycerz Zych ze Zgorzelic, ale pamiętam dobrze, bom od małego był do takich rzeczy ciekawy.

— No i cóż?

— A nic! Jużci tęga jest krzyżacka piechota i ćwiczona godnie, ale to są woły, a nasi Czesi wilcy. Gdyby tak przyszło co do czego, to przecie Wasze Miłości wiedzą: woły wilków nie jadają, a wilki okrutnie na wołowinę łakome.

— Prawda jest — rzekł Maćko, który widocznie coś o tem wiedział — kto się o waszych otrze, to jako od jeża odskoczy.

— W bitwie konny rycerz za dziesięciu piechoty stanie — rzekł Zbyszko.

— Ale Marienburga jeno piechota może do być — odpowiedział giermek.

I na tem skończyła się rozmowa o piechocie, gdyż Maćko, idąc za biegiem swych myśli, rzekł:

— Słysz, Hlawo: dziś, jak podjem i poczuję się w mocy, pojedziemy.

— A dokąd? — spytał Czech.

— Wiadomo, że na Mazowsze, do Spychowa — rzekł Zbyszko.

— I tam już ostaniem?...

Na to spojrział Maćko na Zbyszka pytają-

cym wzrokiem, gdyż dotychczas nie było między nimi mowy o tem, co dalej uczynią. Młodzian może miał gotowe postanowienie, ale nie chciał niem widocznie stryjca zasmucać, więc rzekł wymijająco:

— Wpierw musicie wydobrzeć.

— A potem co?

— Potem? Wróćcie do Bogdańca. Wiem, jako Bogdaniec milujecie.

— A ty?

— I ja miluję.

— Nie mówię, żebyś do Juranda nie jechał, — rzekł powoli Maćko — bo jeśli zamrze, to pogrześć go przystojnie należy, ale ty bacz, co powiem, gdyż, jako młody, rozumem mi nie dorównasz. Nieszczęśliwa to jakowaś ziemia ten Spychów. Co cię spotkało dobrego, to gdzie indziej, a tam nic, jeno strapienia ciężkie i frasunki.

— Prawdę mówicie — rzekł Zbyszko — ale tam Danusina truchelka...

— Cichaj! — zawolał Maćko w obawie, że Zbyszka chwyci taki sam niespodziany ból, jak wczoraj.

Ale na twarzy młodzianka odbiło się tylko rozrzewnienie i smutek.

— Będzie czas uradzać — rzekł po chwili. — W Płocku i tak musicie odpocząć.

— Starunku Waszej Miłości tam nie zbraknie — wtrącił Hława.

— Prawda! — rzekł Zbyszko — wiecie, że tam jest Jagienka? Jest dwórką przy księżnie Ziemowitowej. Ba, ale przecie wiecie, boście ją sami tam przywieźli. Była i w Spychowie. Aż mi to dziwno, żeście mi nie o niej u Skirwojłły nie wspomnieli.

— Nietylko była w Spychowie, ale bez niej Jurand alboby dotychezas macał koszturęm drogi, alboby zamarł gdzie przy drodze. Przywiozłem ją do Płocka wedle opatowego dziedzictwa, a nie wspomniałem ci o niej, bo choćbym był wspomniał, byłoby to samo. Na nic tyś, nieboże, wówczas nie baczył.

— Wielce ona was kocha — rzekł Zbyszko. — Chwalić Boga, że nijakie listy nie były potrzebne, ale ona od księżny dostała listy za wami i przez księżnę od posłów krzyżackich.

— Niech Bóg za to dziewce błogosławi, bo lepszej na świecie niema! — rzekł Maćko.

Dalszą rozmowę przerwało im wejście Zyn-drama z Maszkowic i Powały z Taczewa, którzy, zasłyszawszy o wczorajszem omdleniu Maćka, przyszli go dziś odwiedzić.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł,

przestąpiwszy próg, Zyndram. — Jakoże wam dziś?

— Bóg zapłać! Pomału! Zbyszko prawi, że byle mię wiater obwiał, to będzie całkiem dobrze.

— Co nie ma być?... będzie! Wszystko będzie dobrze — wtrącił Powala.

— Wywczasowałem się też na porządek! — odrzekł Maćko. — Nie tak, jak Wasze Miłości, którzy, jako slysze, ranoście wstali.

— Naprzód przychodzili do nas ludzie tu-tejsi mianować jeńców — rzekł Zyndram — a potem oglądaliśmy gospodarstwo krzyżackie: Przedzamecze i oba zamki.

— Tęgie gospodarstwo i tęgie zamki — mruknął posepnie Maćko.

— Pewnie, że tęgie. Na kościele są arabskie ozdobności, o których powiadali Krzyżacy, że się takiego murowania od Saracenów w Sycylii nauczyli, a w zamkach komnaty ci osobliwe, na słupcach w pojedynkę, alibo gromadami stojących. Obaczycie sami wielki refektarz. Utwierdzenie też wszędy okrutne, jakiego nigdzie nie masz. Takich murów i kula kamienna, chociażby największa, nie ugryzie. Wiera, iż miło patrzeć...

Zyndram mówił to tak wesoło, że Maćko spojrział na niego zdziwiony i zapytał:

— A bogactwo ich, a porządki, a wojsko i gości widzieliście?

— Wszystko nam pokazowali, niby z gościnności, a w rzeczy dlatego, aby serce w nas upadło.

— No i cóż?

— A no, da Bóg, że jak przyjdzie wojna, wyżeniem ich het, za góry i morza, tam, skąd przyszli.

A Maćko, przepomniawszy w tej chwili o chorobie, aż zerwał się na równe nogi ze zdziwienia.

— Jak to, panie? — rzekł. — Mówią, że rozum macie bystry... Bo mnie, aż zemdliło, gdym się ich potęgi napatrzył... Dla Boga! z czegoż to miarkujecie?

Tu zwrócił się do bratanka:

— Zbyszku, kaź zaś to wino, które nam przysłali, postawić. Siadajcie, wasze moście, i mówcie, bo lepszej dryjakwi żaden medyk na moje choróbsko nie wymyśli.

Zbyszko, zaciekawion też bardzo, sam postawił dzbaniec z winem, a przy nim kubki, poczem siedli naokół stołu i pan z Maszkowic tak mówić począł:

— Utwierdzenie to jest nic, bo co ręką ludzką stawiane, to ręką ludzką zburzyć zdola. Wiecie,

co trzyma w kupie cegły? — wapno! A wiecie, co ludzi? — miłość.

— Rany boskie! miód wam, panie, z gęby płynie — zawołał Maćko.

A Zyndram uradował się w sercu tą pochwałą i tak dalej rzecz prowadził:

— Z tutejszych ludzi: ten ci ma u nas w pętach brata, ten syna, ten krewniaka, inny zięcia, alibo kogo. Komturowie graniczni każą im na rozbój do nas chodzić, więc niejeden polegnie i niejednego nasi ulapią. Ale że tu już się zwiedzieli ludzie o ugodzie między królem a mistrzem, przychodzili tedy do nas od samego rana podawać nazwiska jeńców, które nasz pisarz spisywał. Był naprzód bednarz tutejszy, możny mieszczanin, Niemiec, mający dom w Malborgu, który w końcu rzekł: «Bym mógł waszemu królowi i królestwu w czem się przysłużyć, nietylkobym majątność, ale i głowę oddał». Odprawilem go, myśląc, że Judasz. Ale potem przychodzi ksiądz świecki z pod Oliwy, prosi o brata i tak powiada: «Prawda-li to, panie, że na naszych pruskich panów wojną nastąpicie? bo wiezcie, że tu już cały naród, gdy mówi: «Przyjdź królestwo Twoje», to o naszym królu myśli». Było potem o synów dwóch szlachty, co na lennych ziemiach wedle Sztumu



siedzą; byli kupcy z Gdańska, byli rzemieślnicy, był, który dzwony w Kwidzynie leje, była różnych ludzi kupa — i wszyscy gadali to samo.

Tu przerwał pan z Maszkowic, wstał, obaczył, czy za drzwiami nikt nie podsłuchuje, i wróciwszy, kończył przyciszonym nieco głosem:

— Długom ja o wszystko wypytywał. Nienawidzą w całych Prusiech Krzyżaków i księża, i szlachta, i mieszczanie, i kmiecie. I nienawidzi ich nietylko ten naród, którego naszą, alibo pruską mową mówi, ale nawet i Niemcy. Kto musi służyć — służy, ale zaraza każdemu milsza, niż Krzyżak. Ot co jest..

— Ba, ale co się to ma do krzyżackiej mocy — rzekł niespokojnie Maćko.

A Zyndram pogładził dłonią swoje potężne czoło, pomyślał chwilę, jakby szukał porównania, a wreszcie uśmiechnął się i zapytał:

— Potykaliście się kiedy w szrankach?

— Jużci i nieraz — odrzekł Maćko.

— To jakże myślicie? Nie zwali ci się z konia przy pierwszym starciu rycerz, choćby najmocniejszy, ale taki, którego ma poderznięty poprąg u siodła i strzemiona?

— Jako żywo!

— No, to widzicie: Zakon — to taki rycerz.

— Prze Bóg! — zawołał Zbyszko. — Pewnie i w książce nic lepszego nie wyczytasz!

A Maćko aż wzruszył się i rzekł nieco drżącym głosem:

— Bóg wam zapłać. Na waszą głowę, panie, chyba umyślnie płatnerz musi hełm robić, bo gotowego na nią nigdzie nie masz.

---

## LXVI.

Obiecywali sobie Maćko i Zbyszko wyjechać zaraz z Malborga, ale tego dnia, w którym tak bardzo pokrzepił ich dusze Zyndram z Maszkowic, nie wyjechali, gdyż był na Wysokim zamku obiad, a potem wieczerza na cześć posłów i gości, na którą Zbyszko był zaproszon jako królewski rycerz, a dla Zbyszka i Maćko. Obiad odbywał się w mniejszem gronie, we wspaniałym wielkim refektarzu, który oświecało dziesięć okien, a którego palczaste sklepienie wspierało się, rzadko widzianym kunsztem budowniczym, tylko na jednym słupie. Prócz królewskich rycerzy zasiadł do stołu z obcych tylko jeden graf szwabski i jeden burgundzki, który, lubo bogatych władców poddany, przyjechał w ich imieniu pożyczyć pieniędzy od Zakonu. Z miejscowych obok mistrza wzięło udział w obiedzie czterech dostojników zwanych filarami Zakonu, to jest: wielki kom-

tur, jałmużnik, szatny i podskarbi. Piąty filar, to jest marszałek, był w tym czasie na wyprawie przeciw Witoldowi.

Jakkolwiek Zakon ślubował ubóstwo, jedzono na złocie i srebrze, a popijano malma-  
zą, albowiem mistrz chciał olśnić oczy posłów polskich. Lecz pomimo mnóstwa potraw i obfitego poczęstunku przykrzyła się nieco gościom ta uczta z powodu trudności rozmowy i powagi, jaką wszyscy musieli zachowywać. Natomiast wieczerza w olbrzymim refektarzu zakonnym (Convents Remter) wiele była weselsza, albowiem zgromadził się na nią cały konwent i wszyscy ci goście, którzy nie zdążyli jeszcze pociągnąć przeciw Witoldowi z wojskiem marszałka. Wesomości tej nie zmącił żaden spór, ni żadna kłótnia. Wprawdzie rycerze zagraniczni, przewidując, że przyjdzie im się kiedyś spotkać z Polakami, patrzali na nich niechętnem okiem, ale Krzyżacy z góry zapowiedzieli im, że muszą się zachować spokojnie i prosili ich o to bardzo usilnie, bojąc się w osobach posłów obrazić króla i całe królestwo. Ale nawet i w tym wypadku okazała się nieżyczliwość Zakonu, przestrzegali bowiem gości przed zapalczywością Polaków: «że za każde ostrzejsze słowo wraz brodę ci wyszarpie, albo cię nożem pchnie». Więc goście

zadziwieni byli potem dobroduszością i Powalę z Taczewa i Zyndrama z Maszkowic, a bystrzejsi pomiarkowali, że nie obyczaje polskie są grube, lecz języki krzyżackie złośliwe i jadowite.

Niektórzy, przywykli do wykwintnych zabaw na polerownych dworach zachodnich, nieszczególne nawet wynieśli pojęcie o obyczajach samychże Krzyżaków, gdyż była na tej uczcie wrzaskliwa nad miarę kapela, grubiańskie pieśni «szpylmanów», grube żarty trenisiów, pląsy niedźwiedzie i pląsy bosych dziewczek. A gdy dziwiono się obecności niewiast na Wysokim zamku, wydało się, że zakaz łamano już od dawna i że sam wielki Winrych Kniprode tańcował tu swego czasu z piękną Maryą von Alfleben. Bracia tłumaczyli, że na zamku niewiasty nie mogą tylko mieszkać, ale mogą przychodzić do refektarza na uczyty i że zeszłego roku księżna Witol-dowa, która mieszkała w urzędzonej po królewsku starej puszkarni nad Przedzamczu przychodziła jednak tu codziennie grywać w złote arcaby, które jej każdego wieczora darowywano.

Grano i tego wieczora nietylko w arcaby i w szachy, lecz i w kości; więcej tego nawet było, niż rozmowy, którą głużyły pie-

śni i owa zbyt wrzaskliwa kapela. Jednakże wśród powszechnego gwaru zdarzały się chwile ciszy i raz, korzystając z takiej chwili, Zyndram z Maszkowic, niby to nie wiedząc o niczem, zapytał wielkiego mistrza, czyli poddani we wszystkich ziemiach bardzo miłują Zakon.

Na co Konrad von Jungingen rzekł:

— Kto miłuje Krzyż, ten i Zakon powinien miłować.

Odpowiedź ta podobała się i zakonnikom i gościom, więc poczęli go za nią chwalić, ów zaś, ucieszywszy się, tak mówił dalej:

— Kto nam przyjaciel, temu pod nami dobrze, a kto nieprzyjaciel, na tego mamy dwa sposoby.

— Jakież to? — pytał polski rycerz.

— Wasza cześć może nie wiesz, że ja tu z moich komnat schodzę do tego refektarza małymi schodami w murze, a przy tych schodach jest pewna sklepiona izba, do której gdybym Waszą cześć zaprowadził, poznałbyś pierwszy sposób.

— Jako żywo! — zawołali bracia.

A pan z Maszkowic domyślił się, że mistrz mówi o owej «wieży» pełnej złota, którą się chlubili Krzyżacy, więc zastanowił się nieco i odpowiedział:

— Niegdyś, hej! okrutnie dawno, pokazał pewien cesarz niemiecki naszemu posłowi, który zwał się Skarbek, taką komorę i rzekł: «Mam ja twojego pana czem pobić!» A Skarbek dorzucił ci mu pierścień kosztowny i powiada: «Idź złoto do złota, my Polacy bardziej w żelazie się kochamy»... I wiecie Wasze czeście, co potem było? potem było Hundsfeld...

— Co to takiego Hundsfeld? — zapytało kilkunastu naraz rycerzy.

— To — odpowiedział spokojnie Zyndram — takie pole, na którem nikt nie mógł nadażyć grześć Niemców i grzebli ich w końcu psi.

Więc stropili się bardzo i rycerze i bracia zakonnicy, usłyszawszy taką odpowiedź i nie wiedzieli, co mają mówić, a Zyndram z Maszkowic rzekł, jakby na zakończenie:

— Złotem przecież żelazu nie wskórasz.

— Ba! — zawołał mistrz — wždy to nasz drugi sposób, żelazo. Widziałeś Wasza cześć na Przedzamczu płatnerskie majsternie. Kują tam młoty noc i dzień i takich pancерzy, równie, jak mieczów, na świecie niemasz.

Lecz na to znów Powala z Taczewa wyciągnął rękę ku środkowi stolu, wziął długi na łokieć i szeroki więcej, niż na pół piędzi tasak, służący do rąbania mięsa, zwinął go lekko

w trąbkę, jak pergamin, podniósł w górę, tak, aby wszyscy mogli go widzieć, a potem podał mistrzowi.

— Jeśli takie i w mieczach żelazo — rzekł — to niewielu nimi dokażecie.

I uśmiechnął się, rad z siebie, a duchowni i świeccy aż popodnosili się ze swych miejsc i hurmem zbiegli do wielkiego mistrza, poczem jeden drugiemu podawał zwinięty w trąbkę tasak, ale milczeli wszyscy, mając na widok takiej mocy struchlałe w piersiach serca.

— Na głowę św. Liboryusza! — zawołał w końcu mistrz — żelazne, panie, macie ręce.

A graf burgundzki dodał:

— I z lepszego, niż to, żelaza. Takci zwinął ten tasak, jakby był z wosku.

— Nawet się nie splonil i żyły mu nie nabrały! — zawołał jeden z braci.

— Bo — odpowiedział Powala — prosty jest nasz naród, nie znający takich dostatków i wygod, jakie tu widzę, ale czerstwy.

A tu zbliżyli się ku niemu rycerze włoscy i francuzcy i poczęli odzywać się do niego swym dźwiękliwym językiem, o którym stary Maćko mówił, że jest taki, jakby kto cynowe misy potrząsał. Podziwiali tedy jego siłę, on zaś trącał się z nimi kielichem i odpowiadał:

— Często u nas przy biesiadach takie rze-



czy czynią, a zdarzy się, że mniejszy tasak to ci i poniektóra dziewczka zwinie.

Ale Niemcom, którzy lubili się chęłpić między obcymi wzrostem i mocą, wstyd było i brała ich złość, więc stary Helfenstein jął wołać przez cały stół:

— Hańba to dla nas! Bracie Arnoldzie von Baden, pokaż, że i nasze kości nie ze świec kościelnych uczynione! Dajcie mi tasak.

Służba przyniosła wnet tasak i położyła go przed Arnoldem, ale on, czy to, że zmieszał go widok tyłu świadków, czy, że siłę w palcach miał istotnie mniejszą od Powaly, zgiał wprawdzie tasak przez połowę, ale nie zdołał go skrócić.

Więc niejeden z gości zagranicznych, któremu nieraz poprzednio szeptali Krzyżacy, jako w zimie nastąpi wojna z królem Jagiellą, zamyslił się mocno i przypomniał sobie w tej chwili, że zima w tym kraju okrutnie bywa ciężka i że lepiejby może wrócić, póki czas pod łagodniejsze niebo, do rodzinnego zamku.

A było w tem to dziwnego, że podobne myśli poczęły im przychodzić do głowy w lipcu, czasu pięknej pogody i upałów.

---

## LXVII.

W Plocku Zbyszko i Maćko nie zastali nikogo z dworu, albowiem oboje księstwo razem z ósmiorgiem dzieci pojechali w odwiedziny do Czerska, dokąd ich zaprosiła księżna Anna Danuta. O Jagience dowiedzieli się od biskupa, że miała zostać w Spychowie przy Jurandzie aż do jego śmierci. Wiadomości te były im na rękę, bo i sami chcieli jechać do Spychowa. Maćko wysławiał przytem bardzo poczciwość Jagienki, że wolala udać się do umierającego człowieka, który nie był nawet jej krewny, niż na zabawy czerskie, na których płasów i wszelakiej ochoty nie mogło zbraknąć.

— Może uczyniła to i dlatego, aby się z nami nie zminąć — mówił stary rycerz. — Nie widziałem jej już dawno i rad ją obaczę, gdyż wiem, że i ona dla mnie życzliwa. Musiała mi dziewczka wyrosnąć i pewno jeszcze gładsza, niż była.

A Zbyszko rzekł:

— Odmieniła się okrutnie. Gładka była zawsze, ale pamiętałem ją prostą dziewczką, a teraz, to jej... choćby na pokoje królewskie.

— Tak-że ci się odmieniła? Ba! ale to i stary ród tych Jastrzębców ze Zgorzelic, którzy się «Na gody!» czasu wojen wołają.

Nastąpiła chwila milczenia, poczem znów ozwał się stary rycerz:

— Pewnie tak będzie, jakom ci mówił, że jej się zechce do Zgorzelic.

— Mnie i to dziwno było, że z nich wyjeżdżała.

— Bo chorego opata chciała doglądać, kóren należytego starunku nie miał. Bała się przytem Cztana i Wilka, a ja sam jej rzekłem, że przepieczniej będzie braciom bez niej, niżeli przy niej.

— Wiera, że nijak im było sieroty najeżdzać.

A Maćko zamyślił się.

— Ale czy się tam na mnie nie pomścili za to, żem ją wywiózł i czy z Bogdańca choć jedno drewno zostało, Bóg raczy wiedzieć! Nie wiem też, czy wróciwszy, podolał im się obrońić. Chłopy młode i krzepkie, a ja stary.

— Ej! to, to już chyba mówcie temu, kto was nie zna — odpowiedział Zbyszko.

Jakoż Maćko nie mówił tego zupełnie szczerze, chodziło mu bowiem o co innego, ale na razie machnął tylko ręką:

— Żebym był nie chorzał w Malborku, no, to jeszcze! — rzekł. — Ale o tem w Spychowie pogadamy.

I nazajutrz po noclegu w Płocku ruszyli do Spychowa.

Dni były jasne, droga sucha, łatwa, a przytem bezpieczna, gdyż z powodu ostatnich układów wstrzymali Krzyżacy rozboje na granicy. Zresztą dwaj rycerze należeli do takich podróżnych, którym i dla zbója lepiej się zdawało pokłonić, niż z blizka ich zaczepić, więc podróż szła wartko i piątego dnia po wyjeździe z Płocka stanęli rankiem bez trudu w Spychowie. Jagienka, która była przywiązana do Maćka, jak do najlepszego w świecie przyjaciela, witała go niemal tak, jakby witała ojca, a on, choć nie było co mogło go poruszyć, rozrzewnił się jednak tą życzliwością kochanej dziewczyny i gdy w chwilę później Zbyszko, wypytawszy się o Juranda, poszedł do niego i do swojej «truchelki», odetchnął stary rycerz głęboko i rzekł:

— A no! kogo Bóg chciał wziąć, to wziął, a kogo chciał ostawić, to ostawił, ale tak myślę, że przecie skończone te nasze mitęgi i te nasze wędrowania po różnych mierzejach i wertepach.

Po chwili zaś dodał:

— Hej! gdzie to nas Pan Jezus przez te ostatnie lata nie nosił!

— Ale was ręka boska piastowała — odrzekła Jagienka.

— Prawda, że piastowała, wszelako, szczerze rzekłszy, czas już do dom.

— Trzeba nam tu zostać, póki Jurand żywie — rzekła dziewczyna.

— A jako-że z nim?

— Patrzy do góry i śmieje się: widać, już raj ogląda, a w nim Danuskę.

— Pilnujesz go?

— Pilnuję, ale ksiądz Kaleb powiada, że i anieli go pilnują. Wczoraj gospodyni tutejsza dwóch widziała.

— Powiadają — rzekł na to Maćko — że szlachcicowi najprzystojniej w polu umierać, ale tak, jak Jurand kona, to i na łożu dobrze.

— Nie je nic, nie pije, jeno się ciągiem śmieje — rzekła Jagienka.

— Pójdźmy do niego. Zbyszko też tam musi być.

Ale Zbyszko krótko zabawił przy Jurandzie, który nikogo nie poznawał — i poszedł następnie do Danusinej trumny, do podziemia. Tam zabawił dopóty, dopóki stary Tolima nie przyszedł szukać go na posilek. Wychodząc, zauważył

przy blasku pochodni, że na trumnie pełno było wianuszków z chabru i z nagietków, a naokół wymieciona czysto polepa przytrząśnięta była tatarakiem, kaczeńcem i kwiatem lipowym, który roznosił woń miodową. Więc wezbrało w młodzianku na ten widok serce i zapytał:

— Któż to tak zdobi tę truchelkę?

— Panna ze Zgorzelic — odpowiedział Tolima.

Młody rycerz nie rzekł na to nic, ale w chwilę później, ujrawszy Jagienkę, pochylił się nagle do jej kolan i objąwszy je, zawołał:

— Bóg-że ci zapłać za twoją poczciwość i za one kwiecie dla Danuśki.

I to rzekłszy, rozplakał się rzewnie, a ona objęła mu rękoma głowę, jak siostra, która pragnie kwilącego brata utulić i rzekła:

— Oj, mój Zbyszku, radaby ja cię bardziej pocieszyć!

Poczem lzy obfite puściły się i jej z oczu.

---

## LXVIII.

Jurand umarł w kilka dni później. Przez cały tydzień odprawiał ksiądz Kaleb nabożeństwa nad jego ciałem, które nie psuło się wcale — w czem wszyscy cud Boży widzieli — i przez cały tydzień roiło się od gości w Spychowie. Potem przyszedł czas ciszy, jaki zwykle bywa po pogrzebach. Zbyszko chadzał do podziemia, a czasem też z kuszą do boru, z której zresztą nie strzelał do zwierza, jeno chodził w zapamiętaniu, aż wreszcie pewnego wieczoru przyszedł do izby, w której dziewczyny siedziały z Maćkiem i Hlawą i niespodzianie rzekł:

— Posłuchajcie, co powiem! Nie płuży smutek nikomu, a przez to lepiej wam do Bogdańca i do Zgorzelic wracać, niżeli tu w smutku siedzieć.

Nastalo milczenie, wszyscy bowiem odgadli, że to będzie wielkiej wagi rozmowa — i dopiero po chwili ozwał się Maćko:

— Lepiej nam, ale i tobie lepiej.

Lecz Zbyszko potrząsnął swymi jasnymi włosami.

— Nie! — rzekł — wróćę, da Bóg i ja do Bogdańca, ale teraz w inną mi trzeba drogę.

— Hej! — zawołał Maćko — mówilem, że koniec, a tu nie koniec! Bój-że ty się Boga, Zbyszku!

— Przecie wiecie, iżem ślubował.

— To to jest przyczyna? Nie masz Danuśki, nie masz i ślubowania. Śmierć cię od przysięgi zwolniła.

— Mojaby mnie zwolniła, ale nie jej. Na rycerską cześć ja Bogu przysięgał. Jakoże chcecie? Na rycerską cześć!

Każde słowo o rycerskiej czci wywierało na Maćka jakby czarodziejski wpływ. W życiu prócz przykazań boskich i kościelnych niewiele się innemi kierował, ale natomiast temi kilkoma kierował się niezachwianie.

— Ja ci nie mówię, żebyś przysięgi nie dotrzymał — rzekł.

— Jeno co?

— Jeno to, żeś młody i że na wszystko masz czas. Jedź teraz z nami: wypoczniesz, z żalu i boleści się otrząchniesz, a potem ruszysz, dokąd zechcesz.

— To już wam tak szczerze, jak na spowiedzi powiem — odrzekł Zbyszko — jeżdżę,



widzicie, gdzie trzeba, gadam z wami, jem i piję, jak każdy człowiek, a sprawiedliwie mówię, że we wnętrzu i w duszy rady sobie nijakiej dać nie mogę. Nic, jedno smutek we mnie, nic, jedno boleść, nic, jedno te gorzkie słuzy same mi z oczu płyną!

— To ci właśnie między obcymi będzie najgorzej.

— Nie — mówił Zbyszko. — Bóg widzi, że do resztybym skapiał w Bogdańcu. Kiedy wam mówię, że nie mogę, to nie mogę! Wojny mi trza, bo w polu łatwiej zapomnieć. Czuję, że jak ślubu dokonam, jak onej zbawionej duszy będę mógł rzec: wszystkom ci spełnił, com przyobiecał — dopiero mnie popuści. A pierwej, nie! Nie utrzymalibyście mnie i na powrozie w Bogdańcu...

Po tych słowach stało się w izbie cicho, tak, że słyhać było muchy latające pod pułapem.

— Ma-li skapieć w Bogdańcu, to niech lepiej jedzie — ozwała się wreszcie Jagienka.

Maćko założył obie ręce na kark, jak miał zwyczaj czynić w chwilach wielkiego frasunku, poczem westchnął ciężko i rzekł:

— Ej, mocny Boże!...

Jagienka zaś mówiła dalej:

— Zbyszku, ale ty przysięgnij, że jeżeli cię Bóg zachowa, to nie ostaniesz tutaj, jeno powrócisz do nas.

— Cobym nie miał wrócić! Jużci nie ominę Spychowa, ale tu nie ostanę.

— Bo — ciągnęła dalej cichszym nieco głosem dziewczyna — jeśli ci o tę truchelkę chodzi, to my ci ją zawieziem do Krześni...

— Jaguś! — zawołał z wybuchem Zbyszko.

I w pierwszej chwili uniesienia i wdzięczności padł jej do nóg.

---

## LXIX.

Stary rycerz pragnął koniecznie towarzyszyć Zbyszkowi do wojsk księcia Witoldowych, ale ów nie dał sobie nawet o tem mówić. Uparł się jechać sam, bez pocztu, bez wozów, z trzema tylko konnymi pacholkami, z których jeden miał wieść spyżę, drugi zbroję i ubiory, trzeci niedźwiedzie skóry do spania. Próżno Jagienka i Maćko błagali go, by wziął z sobą chociaż Hlawę, jako giermka wypróbowanej siły i wierności. Uparł się i nie chciał, mówiąc, że trzeba mu o tej boleści, która go toczy, zapomnieć, a obecność giermka przypominałaby mu właśnie wszystko, co było i przeszło.

Ale jeszcze przed jego wyjazdem toczyły się ważne narady nad tem, co uczynić ze Spychowem. Maćko radził tę majątność sprzedać. Mówił, iż to jest ziemia nieszczęsna, która nikomu nie przyniosła nic prócz klęsk i niedoli. W Spychowie dużo było wszelakiego bogactwa, począwszy od pieniędzy aż do zbroi, koni, szat,

kożuchów, drogich skór, kosztownych sprzętów i stad, więc Maćkowi chodziło w duszy o to, aby owem bogactwem wspomódz Bogdaniec, który miłszy był mu od wszystkich innych ziem. Radzili tedy nad tem długo, ale Zbyszko żadną miarą nie chciał się zgodzić na sprzedaż.

— Jakoże mi — mówił — Jurandowe kości przedawać? Tak ci to mu się mam wypłacić za one dobrodziejstwa, któremi mię obsypał?

— Obiecaliśmy ci wziąć Danusinę truchleczkę — odrzekł Maćko — możemy i Juranda ciało zabrać.

— Ba, on tu z ojcami, a bez ojców będzie mu się cniło w Krześni. Weźmiecie Danuskę, to on tu ostanie zdala od dziecka, weźmiecie i jego, to tu ojce sami ostaną.

— Bo ty nie baczysz, że Jurand w raju wszystkich codzien ogląda, a ojciec Kaleb powiada, że on w raju — odpowiedział stary rycerz.

Ale ksiądz Kaleb, który był po stronie Zbyszka, rzekł:

— Dusza w raju, ale ciało na ziemi aż do dnia sądu.

Maćko zaś zastanowił się nieco i idąc dalej za własną myślą, dodał:

— Jużci: takiego chyba Jurand nie widzi, któren nie został zbawion, na to wszelako nie ma rady.

— Co tu wyroków boskich dochodzić! — odrzekł Zbyszko. — Ale i tego nie daj Bóg, aby obcy człek nad tymi świętymi prochami mieszkał. Lepiej tu wszystkich ostawię, a Spychowa nie przedam, choćby mi za niego księstwo dawali.

Po tych słowach wiedział już Maćko, że nie ma rady, bo znał uporczywość bratanka i wielbił ją w głębi duszy na równi ze wszystkim, co tylko w młodzianku było.

Więc po chwili rzekł:

— Prawda jest, że pod włos mi chłop mówi, ale w tem, co mówi, to praw.

I zafrasował się, bo jednakże nie wiedział, co czynić.

Ale Jagienka, która milczała dotychczas, wystąpiła z nową radą:

— Żeby tak znaleźć poczciwego człeka, coby tu rządził, alibo dzierżawą Spychów wziął, toby była wyborna rzecz. Najsluszniej, by wydzierżawić, bo nijakich nie mielibyście kłopotów, jeno gotowy grosz. Możeby Tolima?... Stary on jest i więcej się na wojnie niż na gospodarstwie rozumie, ale jeśli nie on, to może ojciec Kaleb?..

— Miła panno! — odpowiedział na to ksiądz Kaleb — obu nam z Tolimą ziemia się patrzy, ale ta, która nas pokryje, nie ta, po której chodzimy.

I to rzekłszy, zwrócił się do Tolimy:

— Prawda, stary?

Więc Tolima ogarnął dłonią śpiczaste ucho i zapytał, o co chodzi, a gdy mu powtórzono głośniej, rzekł:

— Święta to prawda. Nie do gospodarstwa ja! Topór głębiej orze od pluga... Pana i dziecko tobym rad jeszcze pomścił..

I wyciągnął chude, lecz żyłaste dłonie z zakrzywionymi naksztalt szponów drapieżnego ptaka palcami, poczem zwracając swą siwą, podobną do wilczej głowę w stronę Maćka i Zbyszka, dodał:

— Na Niemców Wasze Moście mnie weźcie, to moja służba!

I miał słuszość. Przysporzył on niemało bogactwa Jurandowi, ale tylko drogą wojny i łupu, nie gospodarstwem.

Więc Jagienka, która przez czas tej rozmowy namyślała się, co ma powiedzieć, rzekła znów:

— Tuby się patrzył człek młody, a nie bojący, bo zaś ściana krzyżacka obok; taki, powiadam, coby się przed Niemcami nietylko nie chował, ale jeszcze ich szukał, więc tak myślę, że nie przymierzając, Hława w sam razby się do tego nadawał..

— Obaczcie, jak to uradza! — rzekł Maćko, któremu pomimo całej miłości do Jagienki nie

chciało się w głowie pomieścić, by w takiej sprawie zabierała głos niewiasta, a do tego dziewczka przetowłosa.

Ale Czech podniósł się z ławy, na której siedział i rzekł:

— Bóg na mnie patrzy, że radbym z panem Zbyszkiem na wojnę iść, bośmy już razem trocha Niemców wyluskali i jeszczeby się zdarzyło... Ale jeśli mam zostawać, tobym tu został... Tolima mi przyjaciel i on mnie zna... Ściana krzyżacka obok, to i co? To właśnie! A obaczym, komu się somszedztwo wpierv uprzykrzy! Miałbym się ja ich bać, to niech oni się mnie boją. Nie daj też, Panie Jezu, abym ja Waszym Mościom krzywdę w gospodarstwie czynił i k'sobie wszystko garnął. W tem panienka za mną poświadczy, bo wie, iżebym wolał szecznać sto razy, niżli jej nierzetelne oczy pokazać... Na gospodarstwie tyle się znam, ilem się w Zgorzelicach napatrzył, ale tak miarkuję, że więcej tu trzeba toporem i mieczem, niż plugiem gospodarzyć. I to wszystko wielce mi jest po myśli, jeno że, przecie, tak... niby tu zostać...

— To i co? — zapytał Zbyszko. — Czego się ociągasz?

A Hława zmieszał się wielce i tak dalej, zająkając się, mówił:

— Niby, że jak panienka odjedzie, to z nią

i wszyscy odjadą. Wojować — dobrze i gospodarzyć też, ale tak samemu... bez nijakiej pomocy... Okrutnieby mi się tu cniło bez panienki i bez... tego, jako właśnie chciałem rzec... i jako że panienka nie sama jeździła po świecie... to jakby mi tu nikt nie pomógł... to nie wiem!...

— O czym ten chłop gada? — spytał Maćko.

— Rozum macie bystry, a niceście nie pomiarkowali — odrzekła Jagienka.

— Bo co?

A ona zamiast odpowiedzi zwróciła się do giermka:

— A jakby tak Anula Sieciechówna z tobą ostala, wytrzymałbyś?

Na to Czech grzmotnął się do jej nóg, aż kurz powstał z polepy.

— I w pieklebym z nią wytrzymał! — zawołał, obejmując jej stopy.

Zbyszko, usłyszawszy ten okrzyk, patrzył ze zdumieniem na giermka, gdyż poprzednio o niczem nie wiedział i niczego się nie domyślał, a Maćko dziwił się także temu w duszy, ile to niewiasta znaczy we wszystkich ludzkich sprawach i jak przez nią każda rzecz może się udać, albo też zgoła chybić.

— Bóg laskaw — mruknął — że już ja do nich nie ciekaw.



Jednakże Jagienka, zwróciwszy się znów do Hlawy, rzekła:

— To teraz trzeba nam jeno wiedzieć, czy i Anula z tobą wytrzyma.

I zawołała Sieciechównę, a ta weszła, wiedząc lub domyślając się widocznie, o co chodzi, gdyż weszła z zasłonionemi ramieniem oczyma i z głową spuszczoną tak, że widać było tylko rozbiór jej jasnych włosów, które rozjaśniał jeszcze bardziej padający na nie promień słońca. Naprzód zatrzymała się przy odrzwiach, potem, skoczywszy ku Jagience, padła przed nią na kolana i ukryła twarz w fałdach jej spódnicy.

A Czech klęknął koło niej i rzekł do Jagienki:

— Pobłogosławcie nas, panienko.

---

## LXX.

Nazajutrz nadeszła chwila odjazdu Zbyszka. On sam siedział wysoko na rosłym koniu bojowym, a swoi otaczali go dokoła. Jagienka, stojąc wedle strzemia, wzniosła ku młodziankowi w milczeniu swe smutne niebieskie oczy, jakby chcąc przed rozstaniem napatrzeć się na niego dowoli. Maćko razem z księdzem Kalebem przy drugim strzemiesiu, a tuż obok giermek z Sieciechówną. On zwracał głowę to w jedną, to w drugą stronę, zamieniając z nimi takie krótkie słowa, jakie zwykle wypowiada się przed długą podróżą: «Ostańcie zdrowi!» — «Niech cię Bóg prowadzi!» — «Czas już!» — «Hej, czas! czas!» Poprzednio już był pożegnał się ze wszystkimi i z Jagienką, którą pod nogi podjął, dziękując jej za życzliwość. A teraz, gdy spoglądał na nią z wysokiego rycerskiego siodła, miał ochotę powiedzieć jej jeszcze jakie dobre słowo, gdyż jej wzniesione oczy i twarz mówiły mu tak wy-

rażnie: «Wróć!» — że serce wzbierało mu rzetelną wdzięcznością.

I jak gdyby odpowiadając na tę jej niemą wymowę, rzekł:

— Jaguś, ku tobie, jako ku siostrze rodzonej... Wiesz!... Nic więcej nie rzekę!

— Wiem. Bóg ci zapłaci.

— I o stryjcju pamiętaj.

— I ty pamiętaj.

— Jużci wrócę, jeśli nie zginę.

— Nie giń.

Raz już, w Płocku, gdy wspomniał o wyprawie, powiedziała mu tak samo: «Nie giń», ale teraz słowa te wyszły z jeszcze większej głębi jej duszy i może dla ukrycia lez pochylała się przytem tak, że czoło jej dotknęło na chwilę kolana Zbyszka.

A tymczasem pacholkiwie konni przy bramie, trzymający juczne konie, gotowi już do drogi, poczeli śpiewać:

«Nie zginie pierścień, złocisty pierścień

Nie zginie.

Kruk go odniesie, z pola odniesie

Dziewczynie».

— W drogę! — zawołał Zbyszko.

— W drogę.

— Boże cię prowadź! Matko Najświętsza!...

Zatętniły kopyta na drewnianym zwodzonym moście, jeden z koni zarżał przeciągle, inne poczęły parskać rozgłośnie i orszak ruszył.

Ale Jagienka, Maćko, ksiądz, Tolima, oraz Czech ze swą niewiastą i ci słudzy, którzy zostawali w Spychowie, wyszli na most i patrzyli na odjeżdżających. Ksiądz Kaleb żegnał ich krzyżem czas długi, aż gdy wreszcie znikli za wysokimi krzami olszyny, rzekł:

— Pod tym znakiem nie dosięgnie ich zła przygoda.

A Maćko dodał:

— Pewnie, ale i to też dobrze, że konie czyniły parskanie okrutne.

---

Lecz i oni nie zostali już długo w Spychowie. Po dwóch tygodniach stary rycerz załatwił sprawy z Czechem, który osiadł dzierżawą na majątności, sam zaś na czele długiego szeregu wozów, otoczonych zbrojną czeladzią, ruszył z Jagienką w stronę Bogdańca. Niezupelnie radzi patrzyli na owe wozy ksiądz Kaleb i stary Tolima, bo, prawdę rzekłszy, Maćko złupił trochę Spychów, ale ponieważ Zbyszko całkiem zdał na niego rządy, nikt nie śmiał mu się sprzeciwić. Zresztą, byłby zabrał jeszcze wię-

cej, gdyby go nie hamowała Jagienka, z którą sprzeczał się wprawdzie, wydziwiając na «babskie rozумы», ale której słuchał jednak prawie we wszystkim.

Trumny Danusinej nie wieźli jednak, gdyż, skoro Spychów nie został sprzedany, Zbyszko wolał, aby została z ojcami. Wieźli natomiast moc pieniędzy i różnych bogactw, w znacznej części złupionych swego czasu na Niemcach w rozlicznych bitwach, które stoczył z nimi Jurand. To też Maćko, spoglądając teraz na ładowne, pokryte rogożami wozy, radował się w duszy na myśl, jak wspomże i urządzi Bogdaniec. Zatruiwała mu jednak tę radość obawa, że Zbyszko może poledz, ale znając sprawność rycerską młodzianka, nie tracił jednak nadziei, że wróci szczęśliwie i z rozkoszą o tej chwili rozmyślał.

— Może to Bóg tak chciał — mówił sobie — żeby w pierw dostał Zbyszko Spychów, a potem Moczydoly i wszystko, co po opacie zostało? Niech jeno wróci szczęśliwie, to mu kasztel godny w Bogdańcu wystawię; a wtedy obaczym!...

Tu przypomniało mu się, że Cztań z Rogowa i Wilk z Brzozowej pewnie niezbyt mile go przyjmą i że może trzeba się będzie z nimi politykać, ale o to nie dbał, równie jak stary koń

bojowy nie dba, gdy mu do bitwy iść przyjdzie. Zdrowie mu wróciło, czuł siłę w kościach i wiedział, że tym zabijakom, groźnym wprawdzie, ale nie mającym nijakiego ćwiczenia rycerskiego, łatwo da rady. Wprawdzie co innego mówił przed niedawnym czasem Zbyszkowi, mówił to jednak tylko dlatego, by go do powrotu skłonić.

— Hej! szczuka ja. a oni kielbie — myślał — niech mi lepiej od głowy nie zachodzą!

Natomiast zaniepokoiło go co innego: Zbyszko Bóg wie kiedy oto wróci, a przytem Jagienkę uważa całkiem tylko za siostrę. Nuż dziewczka patrzy na niego też jak na brata i nuż nie zechce czekać na jego niepewny powrót?

Więc zwrócił się do niej i rzekł:

— Słuchaj, Jagna: nie mówię ja o Cztanie i Wilku, bo to rube chłopiska i nie dla ciebie. Tyś teraz dwórka!... Ale wedle tego, że to roki ci są!... Już nieboszczyk Zych powiadał, że czujesz Bożą wolę, a to temu kilka lat... Bo ja tam wiem! Mówią, że jak dziewce zaciasno we wianuszkę, to ci sama gotowa szukać takiego, coby jej go z głowy zdjął... Ma się rozumieć, że ni Cztan, ni Wilk... Ale jakoże miarkujesz?

— O co wy się pytacie?

— Nie wydasz-li ty się za kogobądź?

— Ja?... Ja mniszką ostaną.

— Nie powiadaj byle czego! A jak Zbyszko wróci?

Ale ona potrząsnęła głową:

— Mniszką ostanę.

— No, a jakby cię pokochał? jakby cię prosił okrutnie?

Na to dziewczyna odwróciła zarumienioną twarz do pola, ale wiatr, który właśnie od pola wiał, przyniósł Maćkowi cichą odpowiedź:

— To nie ostanę.

---

## LXXI.

Zabawili czas jakiś w Płocku, aby się z dziedzictwem i z testamentem opatowym uładzić, a potem zaopatrzeni w należyte dokumenta, ruszyli dalej, niewiele wypoczywając w drodze, która była łatwa i bezpieczna, gdyż upał osuszył błota, pozweżał rzeki, a gościńce szły krajem spokojnym, zamieszkanym przez lud swojacki i gościnnie. Z Sieradza pchnął jednak ostrożny Maćko pacholka do Zgorzelic, o przybyciu swoim i Jagienkowem oznajmić, skutkiem czego Jaśko, brat Jagienki, wyskoczył ku nim na pół drogi i na czele zbrojnych parobków odprowadził ich do domu.

Było przy tem spotkaniu niemało radości, powitań i okrzyków. Jaśko podobny był zawsze do Jagienki, jak dwie krople wody, ale już ją przerósł. Chłopak był na schwał: dziarski, wesoly, jak nieboszczyk Zych, po którym ochotę do ciągłego śpiewania odziedziczył, a żywy, jak skra. Poczul się też już w latach, w sile i za



dojrzałego męża się uważał, bo rządził swymi pacholkami, jak prawy wódz, a oni w mig każdy jego rozkaz spełniali, bojąc się widocznie jego powagi i władzy.

Dziwili się więc temu Maćko i Jagienka, a on dziwił się także z wielką uciechą urodzie i dworności siostry, której od dawna nie widział. Mówił przytem, że już się ku niej wybierał i że maluczko, a byliby go w domu nie zastali, gdyż i tak trzeba mu świat obaczyć, o ludzi się otrzeć, ćwiczenia rycerskiego nabrać i sposobność tu i ówdzie znaleźć do potykania się z wędrownymi rycerzami.

— Świat i obyczaje ludzkie poznać — rzekł mu na to Maćko — dobra jest to rzecz, gdyż uczy to, jak się w każdej przygodzie znaleźć, co powiedzieć i wzmaga przyrodzony rozum. Ale co do potykania się, lepiej, że ja ci powiem, iżeś na to jeszcze za młody, niż żeby ci to miał jaki obcy rycerz powiedzieć, którenby cię przytem wyśmiać nie omieszkał.

— Toby po tym śmiechu zapłakał — odrzekł na to Jaśko — a jeśli nie on, to jego żona i dzieci.

I spojrział z okrutną zuchwałością przed siebie, jakby chciał rzec wszystkim wędrownym rycerzom na świecie: «Gotujcie się na śmierć!» Lecz stary rycerz z Bogdańca zapytał:

— A Cztań i Wilk ostawili tu was w spokoju? Bo to oni radzi na Jagienkę patrzyli.

— Ba! Wilk zabit na Śląsku. Chciał tam jednego kasztelu niemieckiego dobyć i dobył, ale że go kłodą z murów przywalili, więc po dwóch dniach ostatnią parę puścił.

— To go szkoda. Chadzał i jego ojciec na Niemców do Śląska, którzy tam nasz naród cisną — i lupy z nich brał.. Najgorsze to dobywanie zamków, bo przy niem ni zbroja ni ćwiczenie rycerskie nie pomoże. Da Bóg, że tam ksiązę Witold nie będzie zamków dobywał, jeno w polu Krzyżaków gnębił.. A Cztań? co z nim słyhać?

Jaśko począł się śmiać:

— Cztań się ożenił! Wziął córkę kmiecia z Wysokiego Brzegu, sławną z urody. Hej! nie tylko gładka dziewczka, ale i zaradna, bo Cztańowi niejeden woli z drogi ustąpić, a ona go po włochatym pysku bije i za nozdrza ci go wodzi, jako niedźwiedzia na łańcuchu.

Rozweselił się, usłyszawszy to, stary rycerz.

— Widzisz ją! wszystkie baby jednakie! Jagienka, i ty taka będziesz! Chwała Bogu, że nie było z tymi dwoma zabijakami kłopotu, bo szczerze mówiąc, aże mi to dziwno, że na Bogdańcu złości nie wywarli.

— Cztań chciał, ale Wilk, który był mą-

drzejszy, nie dał mu. Przyjechał do nas do Zgorzelic pytać, co się z Jagienką stało? Rzekłem, iż pojechała po opatowe dziedzictwo. A on powiada: «Czemu zaś mi Maćko o tem nie mówili?» Więc ja znów na to: «A cóż to Jagienka twoja, żeby ci się mieli opowiadać!» On też, pomyślawszy chwilę: «Prawda, mówi, że nie moja». I jako to rozum miał bystry, zaraz widać pomiarkował, że was i nas sobie zjedną, jeśli Bogdańca będzie przed Cztanem bronił. Potykali się też na Ławicy, wedle Piasków i poszczerbili się wzajem, a potem pili na umor, jak to im się zawdy przytrafiało.

— Panie świeć nad Wilkową duszą! — rzekł Maćko.

I odetchnął głęboko, rad, że w Bogdańcu nie znajdzie innych szkód na te, których długa jego nieobecność mogła być przyczyną.

Jakoż i nie znalazł: owszem, pomnożył się nawet dobytek w stadach, a z niewielkiego stadka świerzop były już źrebaki dwulatki, niektóre po bojowych fryzyjskich ogierach, nad zwykłą miarę rosły i silne. Szkoda znalazła się tylko w tem, że kilku brańców uciekło, ale niewiele, bo mogli uciekać wyłącznie do Śląska, a tam, niemieccy lub zniemczeni rabusie rycerze gorzej obchodzili się z jeńcami, niż szlachta polska. Stare ogromne domosko pochyliło się je-

dnakże znacznie do upadku. Popękały polepy, skrzywiły się ściany i pułapy, a modrzewiowie belki, zrębione przed dwustu albo i więcej laty, poczęły próchnieć. We wszystkich izbach, które zamieszkiwał ongi liczny rój Gradów Bogdanieckich, zaciekało w czasie obfitych dżdżów letnich. Dach zdziurawiał i pokrył się całami kępami zielonych i rudych mchów. Cała budowa przysiadła i wyglądała, jak grzyb rozłożysty, ale zmurszały.

— Żeby był starunek, toby jeszcze trwało, bo od niedawna zaczęło się psować — mówił Maćko do starego karbowego Kondrata, który pod nieobecność panów zawiadował majątnością.

A po chwili:

— Jabym i tak do śmierci domieszkał, ale Zbyszkowi kasztel się patrzy.

— O dla Boga! Kasztel?

— He! Albo co?

Była to ulubiona myśl starego postawić Zbyszkowi i przyszłym jego dzieciakom kasztel. Wiedział, że szlachezca, który nie w zwykłym dworcu, ale za rowem i częstokołem siedzi, a przytem czatownię ma, z której straż spogląda na okolicę, zaraz i sąsiedzi «za coś uważają» — i o urząd mu łatwiej. Dla siebie niewiele już żądał Maćko, ale dla Zbyszka i jego synów nie

chciał na małym poprzestać, tem bardziej teraz, gdy majątność wzrosła tak znacznie.

— Niechby jeszcze Jagienkę wziął — myślał — a z nią Moczydoly i opatowe dziedzictwo: niktby w okolicy nie był z nami na równi, co daj Boże!

Ale to wszystko zależało od tego, czy Zbyszko wróci, a to była rzecz niepewna i zależna od łaski boskiej. Mówił sobie tedy Maćko, że trzeba mu być teraz z Panem Bogiem jak najlepiej i nietylko w niczem mu się nie narazić, ale czeni można, to go zjednać. W tej chęci nie żałował dla kościoła w Krześni ni wosku, ni odsepów, ni zwierzyny, a pewnego wieczoru, przyjechawszy do Zgorzelic, tak rzekł do Jagienki:

— Do Krakowa ci jutro jadę, do grobu świętej naszej królowej Jadwigi.

A ona aż zerwała się z ławy ze strachu.

— Zaliście dostali jaką złą nowinę?

— Nijakiej nowiny nie było, bo i nie mogło jeszcze być. Ale ty pamiętasz, jako wtedy, gdym chorzał od tego zadziora w boku — co toście, wiesz, po bobry ze Zbyszkiem chodzili — ślubowałem, że jeśli Bóg mi wróci zdrowie, to do tego grobu pójdę. Bardzo mi wonczas wszyscy tę chęć chwalili. I pewnie! Ma tam Pan Bóg dość świętej czeladzi, ale przecie byle święty nie znaczy i tam tyle, co nasza Pani, której

urazić nie chcę i wskrós tej przyczyny, że mi i o Zbyszka chodzi.

— Prawda! jako żywo! — rzekła Jagienka. — Ale żeście dopiero z takiej okrutnej wędrówki wrócili...

— To i co! Wolę już wszystko naraz odbyć, a potem siedzieć spokojnie doma aż do Zbyszkowego powrotu. Niech jeno królowa nasza wstawi się za nim do Pana Jezusa, to mu przy dobrej zbroi i dziesięciu Niemców nie poradzi... Będą potem z lepszą nadzieją kasztel budował.

— Ale też kości macie niepożyte!

— Pewnie, żem jeszcze jary. Powiem ci też i co innego. Niech Jaśko, któren się w drogę rwie, jedzie ze mną. Jam człek doświadczony i pohamować go potrafię. A gdyby przygoda się jaka trafiła — bo to chłopaka ręce swędzą — to wiesz przecie, że i potykać mi się nie nowina, zarówno pieszo jak konno, na miecze, alibo na topory...

— Wiem! Nikt go lepiej od was nie ustrzeże.

— Ale tak myślę, że nie przygodzi się potykać, bo póki królowa żyła, to pełno bywało w Krakowie obcych rycerzy, którzy jej ufołę chcieli oglądać ale teraz wolą do Malborka ciągnąć, bo tam beczki z małmężą pękatsze.

— Ba! przecie jest nowa królowa.

A Maćko skrzywił się i machnął ręką:

— Widziałem! — i nic więcej nie rzekę rozumiesz.

Po chwili zaś dodał:

— Za trzy albo cztery niedziele będziemy z powrotem.

Jakoż tak się stało. Kazał tylko stary rycerz poprzysiądz Jaškowi na rycerską cześć i na głowę św. Jerzego, że się w żadną dalszą drogę nie będzie napierał — i wyjechali.

W Krakowie stanęli bez przygody, bo kraj był spokojny, a od wszelkich napadów ze strony zniemczonych książątek granicznych i zbójów rycerzy niemieckich ubezpieczał go strach przed potęgą królestwa i męstwem mieszkańców. Po odprawieniu ślubów dostali się przez Powagę z Taczewa i kniazika Jamonta na dwór królewski. Myślał Maćko, że i na dworze i po urzędach będą go skwapliwie wypytywali o Krzyżaków, jako czleka, który ich przeznał dobrze i który im się z blizka przypatrywał. Ale po rozmowie z kanclerzem i z miecznikiem krakowskim przekonał się ze zdziwieniem, że wiedzą oni o Krzyżakach nietylko nie mniej, ale więcej od niego. Wiedziano wszystko, aż do najdrobniejszych szczegółów, co się działo i w samym Malborgu i w innych, choćby najodleglejszych zamkach. Wiedziano, jakie są komendy, jaka gdzie liczba żołnierza, jaka ilość dział, ile czasu trzeba

na zebranie wojsk, jakie są zamiary Krzyżaków na wypadek wojny. Wiedziano nawet o każdym komturze, czy jest człowiek porywczy i zapalczywy, czy rozważny, a zapisywano wszystko tak troskliwie, jakby wojna miała jutro wybuchnąć.

Stary rycerz uradował się tem w sercu wielce, zrozumiał bowiem, że do owej wojny gotują się daleko rozważniej, rozumniej i potężniej w Krakowie, niż w Malborgu. «Pan Jezus dał nam takie albo i większe męstwo — mówił sobie Maćko — a widać większy rozum i większą zapobiegliwość». I tak wówczas było. Dowiedział się też niebawem, skąd pochodzą owe wiadomości: oto dostarczali ich sami mieszkańcy Prus, ludzie wszystkich stanów, zarówno Polacy, jak i Niemcy. Zakon potrafił taką wzbudzić przeciw sobie nienawiść, że wszyscy w Prusiech wyglądali jak zbawienia przyjscia wojsk Jagiellowych.

Maćkowi przypomniało się wówczas, co swego czasu mówił w Malborgu Zyndram z Maszkowic — i jął powtarzać sobie w duchu:

— Ten ci ma głowę! czysty ceber!

I rozpamiętywał każde jego słowo, a raz zażyczył nawet od niego mądrości, bo gdy trafiło się, że młody Jaśko począł wypytywać o Krzyżaków, rzekł:



— Mocni oni, juchy, są, ale jakoże myślisz? zali nie wyleci z siodła rycerz choćby najmocniejszy, jeśli ma poderznięty poprąg i strzemiona?

— Wyleci, jako to prawda, że tu stoję! — odrzekł młodzianek.

— Ha! widzisz! — zawołał grzmiącym głosem Maćko. — Do tegom cię chciał przywieść!

— Bo co?

— Bo Zakon to taki rycerz!

A po chwili dodał:

— Z lada gęby tego nie usłyszysz, nie bój się!

I, gdy młody rycerzyk nie mógł jeszcze wymiarkować dobrze, o co chodzi, począł mu rzecz wyjaśniać, zapomniał jednak dodać, że porównanie to nie sam wymyślił, ale że wyszło ono co do słowa z potężnej głowy Zyndrama z Maszkowic.

## LXXII.

W Krakowie niedługo zabawili, a byłiby zabawili jeszcze krócej, gdyby nie prośby Jaśka, który chciał się ludziom i miastu napatrzeć, albowiem wszystko wydawało mu się snem cudownym. Jednakże staremu rycerzowi spieszyło się okrutnie do domowych pieleszy i do żniw, więc niewiele pomogły i prośby, tak, że na Wniebowzięcie N. Panny byli już z powrotem: jeden w Bogdańcu, drugi w Zgorzelicach przy siostrze.

I od tej pory zaczęło im się życie wleć dość jednostajnie, zapelnione pracą gospodarczą i zwykłymi wiejskimi zabiegami. Żniwa w położonych nizinnie Zgorzelicach, a zwłaszcza w Jagienkowych Moczydołach, wypadły wyśmienicie, ale w Bogdańcu z powodu suchego roku plon okazał się chudy i nie trzeba było dużo trudu, by go zebrać. Wogóle skąpo tam mieli ziemi uprawnej, bo majątność była pod

borem, a wskutek długiej niebytności panów te nawet lechy, które już był karczunkiem przysposobił pod orkę opat, zapuszczono z braku rąk na nowo. Stary rycerz, jakkolwiek czuły na każdą stratę, nie brał tego zbyt do serca, wiedział bowiem, iż przy pieniądzach łatwo będzie wprowadzić we wszystkim ład i porządek, byle tylko było dla kogo truduć się i pracować. Ale właśnie ta wątpliwość zatruwała mu prace i dni. Rąk wprawdzie nie opuszczał, wstawał do dnia, jeździł do stad, doglądał robót polnych i leśnych, wybrał nawet miejsce na kasztel i przysposabiał budulec, ale gdy po dniu znojnym słońce roztapiało się w złotych i czerwonych blaskach zórz, nieraz chwytala go tęsknota okrutna, a obok niej i niepokój, jakiego przedtem nigdy nie doznawał: «Ja tu zabiegam, ja się tu mozolę — mówił sobie — a tam chłopisko moj leży może gdzie w polu włócznieą przebodzon i wiley mu zębami pozgonne dzwonią». Na tę myśl ścisnęło mu się serce i wielką miłością i wielkim bólem. Nasłuchiwał też wówczas pilnie, czy tętentu nie usłyszy, który zwiastował codziennie przybycie Jagienki, udając bowiem przy niej, że ma dobrą otuchę, nabierał jej sam i krzepił się nieco w strapionej duszy.

Ona zaś przyjeżdżała codziennie, zwykle pod

wieczór, z kuszą przy siodle i z oszczepem, od wypadku w drodze powrotnej. Nie była to rzecz wcale możliwa, aby mogła kiedy niespodzianie zastać Zbyszka już w domu, gdyż Maćko nie śmiał się go przed jakimś rokiem, albo i półtora, spodziewać, ale widocznie i ta nadzieja taila się w dziewczynie, gdyż przybywała nie tak, jak niegdyś za dawnych czasów, w zaściągniętej tasiemką koszulinie, w kożuszku welną do góry i z liśćmi w powichrzonych włosach, ale z pięknie splecionym war-koczem i z pierśią opiętą w barwne sieradzkie sukno. Maćko wychodził ku niej, i pierwsze jej pytanie było zawsze, jakby kto zapisał: «A co?» - a pierwsza jego odpowiedź: «A nic!»— Potem wprowadzał ją do izby i gwarzyli przy ogniu o Zbyszku, o Litwie, o Krzyżakach i o wojnie, ciągle w kółko, ciągle o tem samem, a nigdy żadnemu z nich nietylko nie naprzykrzyły się te rozmowy, ale nigdy nie mieli ich dosyć.

I tak było przez całe miesiące. Bywało, że i on jeździł do Zgorzelic, ale częściej ona do Bogdańca. Czasem jednak, gdy w okolicy zdarzały się jakieś niepokoje, albo w porze rui niedźwiedzich, gdy stare samce, idąc rozwścieczone za samicą, skłonne bywały do zaczepki, Maćko odprowadzał dziewczynę do dom. Zbrojny

dobrze, nie obawiał się stary żadnych dzikich zwierząt, był bowiem niebezpieczniejszy dla nich, niż one dla niego. Jeździli tedy wówczas strzemię w strzemię i często bór odzywał im się z głębin groźnie, lecz oni zapominając o wszystkim, co im się mogło przygodzić, rozmawiali tylko o Zbyszku: gdzie jest? co robi? zali już nabił, albo czy prędko nabije tylu Krzyżaków, ilu nieboszczce Danusi i jej nieboszczce matce ślubował — i czyli rychło powróci? Jagienka zadawała przytem Maćkowi pytania, które już ze sto razy zadawała poprzednio, a on odpowiadał na nie z taką uwagą i rozmysłem, jakby je pierwszy raz słyszał.

— To mówicie — pytała — że bitwa w polu nie tak dla rycerza straszna, jak zamków dobywanie?

— A obacz, co się Wilkowi przygodziło? Przed kłodą, którą z wałów stoczą, żadna zbroja nie uchroni, a w polu, byle rycerz ćwiczenie należyte miał, może się i dziesięciu nie dać.

— A Zbyszko? Zali zacną ma zbroję?

— Ma ich kilka zacnych, a najlepszą tę zdobyczną po Fryzie, bo w Medyolanie kuta. Jeszcze przed rokiem była cośkolwiek na Zbyszka za luźna, ale ninie w sam raz.

— To już przeciw takiej żadna broń nie poradzi, prawda?

— Co ręka ludzka zrobiła, przeciw temu ręka ludzka poradzi. Na medyolańską zbroję — medyolański miecz, albo też strzały Angielczyków.

— Strzały Angielczyków? — pytała z niepokojem Jagienka.

— A tom ci nie mówił? Niemasz nad nich w świecie luczników... chyba Maurowie puszczają, ale i ci tak godnego sprzętu nie mają. Angielska kusza przeszyje na sto kroków najlepszą zbroję. Widziałem pod Wilnem. I żaden z nich nie chybi, a znajdzie się poniekóry, co i jastrzębia w lot ustrzeli.

— O pogańscy synowie! Jakożeście sobie z nimi radzili?

— Nie było innej rady, jeno zaraz w nich! Dobrze psiajuchy i berdyszami obracają, ale z blizka, to już nasz sobie poradzi.

— Piastowała was przecie ręka boska, to i teraz Zbyszka ustrzeże.

— Często ja też tak mówię: «Panie Boże, skoroś nas stworzył i w Bogdańcu osadził, to teraz pilnuj, abyśmy zaś nie sceżeli!» Ha! boska to już sprawa. Po prawdzie, niemiała to rzecz na cały świat dawać baczenie i o niczem nie przepomnieć, ale po pierwsze człek się tam

czem może przypomina, kościolowi świętemu nie skąpiąc, a powtóre, co boska głowa, to nie ludzka.

Tak to oni nieraz z sobą gwarzyli, dodając sobie wzajem otuchy i nadziei. Tymczasem jednak pływały dni, tygodnie i miesiące. W jesieni zdarzyła się Maćkowi sprawa ze starym Wilkiem z Brzozowej. Był z dawna spór graniczny między Wilkami a opatem o leśne nowocie, które opat, trzymając zastawem Bogdaniec, wykarczował i zagarnął. W swoim czasie pozywał on nawet obu naraz Wilków w pole, na kopie albo na długie miecze, ci wszelako nie chcieli stawać z duchownym, w sądzie zaś nie mogli nic wskórać. Teraz stary Wilk upominał się o owe grunta, Maćko zaś, który na nie w świecie nie był tak chciwy, jak na ziemię, idąc zrazu za popędem swej natury, a zarazem podniecon myślą, że jęczmiona udają się doskonale na nowinach, ani chciał słyszeć o ich ustąpieniu. Byliby też niechybnie poszli do grodu, gdyby nie to, że wypadkiem zjechali się u proboszcza w Krześni. Tam gdy nagle stary Wilk rzekł w końcu srogiej kłótni: «Zanim ludzie rozsądzą, na Boga się zdaje, który na waszym rodzie za moją krzywdę się pomści» — zmiękł nagle zawzięty Maćko, pobladł, na chwilę

umilkł, a potem tak ozwał się do klótliwego sąsiada:

— Słuchajcie, nie ja począłem sprawę, jeno opat. Bóg wie, czyja słuszna, ale macie-li złorzeczyć Zbyszkowi, to bierzcie nowiny, a Zbyszkowi niech tak Bóg da zdrowie i szczęście, jako je wam z serca odstępuję.

I wyciągnął ku niemu dłoń, a ów, znając go z dawnych czasów, zdumiał się niezmiernie, ani bowiem domyślał się, jaka w tem twardem pozornie sercu tkwiła miłość dla bratanka i jaki panował niepokój o jego losy. Przez długi też czas nie mógł i słowa przemówić, aż dopiero, gdy ucieszony takim obrotem sprawy proboszcz krzesieński przeżegnał ich znakiem krzyża, odrzekł:

— A kiedy tak, to co innego! Nie o zysk mi chodziło, bom stary i majątności nie mam komu ostawić, jeno o słuszność. Kto ze mną po dobroci, temu jeszcze i ze swego ustąpię. A waszemu bratankowi niech tam Bóg błogosławi, abyście na starość nie płakali po nim, jako ja po moim jedynym chłopie...

I rzucili się sobie wzajem w ramiona, a potem długi czas spierali się o to, kto weźmie nowiny. Maćko dał się wszelako w końcu przekonać, ile że Wilk sam był na świecie i majątności nie miał istotnie komu zostawić.



Poczem zaprosił starego do Bogdańca, gdzie uczcił go obficie jadłem i napojem albowiem i sam miał w duszy radość wielką. Cieszyła go i nadzieja, że jęczmień na nowinach tego zejdzie i zarazem myśl, że odwrócił od Zbyszka nielaskę bożą.

«Byle wrócił, to mu ta ziemi i dobytku nie zbraknie!» — myślał.

Jagienka niemniej była z tej zgody zadowolona.

— Juści teraz — mówiła, wysłuchawszy, jak się wszystko odbyło — jeśli Pan Jezus miłosierny zechce okazać, że mu zgoda od swarów milsza, to musi wam Zbyszka szczęśliwie powrócić.

Na to twarz Maćka pojaśniała, jakby padł na nią promień słońca.

— Tak i ja myślę! — rzekł. — Pan Bóg wszechmocny, bo wszechmocny, ale i na moce niebieskie są sposoby, trzeba jeno rozum mieć..

— Wam chytrości nigdy nie brakło — odpowiedziała dziewczyna, podnosząc w górę oczy.

I po chwili, jakby się nad czem namyśliwszy, ozwała się znowu:

— Ale też wy tego waszego Zbyszka miłujecie! miłujecie! hej!

— Ktoby jego nie miłował! — odparł stary rycerz. — A ty? Niby to go nie nawidzisz?

Jagienka nie odpowiedziała nic wprost, tylko jak siedziała na ławie w podległości Maćka, tak przysunęła się do niego jeszcze bliżej i odwróciwszy głowę, poczęła go trącać z lekka łokciem:

— Dajcie spokój!

---

## LXXIII.

Jednakże wojna o Żmujdź między Krzyżakami a Witoldem zbyt zajmowała ludzi w Królestwie, aby nie mieli dopytywać się o jej przebieg. Niektórzy pewni byli, że Jagiello przyjdzie w pomoc stryjecznemu bratu i że walnej wyprawy przeciw Zakonowi rychło patrzeć. Rycerstwo rwało się do niej, a po wszystkich siedzibach szlacheckich powtarzano sobie, że i znaczna liczba panów krakowskich, zasiadających w królewskiej radzie, przechyla się na stronę wojny, mniemając, że raz trzeba skończyć z tym nieprzyjacielem, który nigdy nie chciał poprzestać na swoim, a o zagrabieniu cudzego myślał nawet wówczas, gdy ogarniała go bojaźń przed potęgą sąsiedzką. Lecz Maćko, który był człowiekiem rozumnym, a jako bywalec widział i poznał wiele, nie wierzył w blizką wojnę i tak nieraz o tem mówił do młodego Jaśka ze Zgorzelic i do innych sąsiadów, których w Krześni spotykał:

— Póki mistrz Konrad żywie, nie będzie z tego nic, bo on mądrzejszy od innych i wie, że nie byłaby to zwyczajna wojna, ale jakoby rzeź: «twoja, albo moja śmierć!» I do tego on, znając moc królewską, nie dopuści.

— Ba! a jeśli król pierwszy wojnę wypowie? — pytali sąsiedzi.

Lecz Maćko kręcił głową:

— Widzicie... z blizka ja się wszystkiemu przypatrywałem i niejednom potrafiłem wymiarkować. Żeby to był król z naszego dawnego rodu królów od wiek wieków krześcijańskich, toby może i pierwszy na Niemców uderzył. Ale nasz Władysław Jagiello (nie chcę ja mu czci uszczknąć, bo zacny to pan, którego niech Bóg w zdrowiu zachowa), nimśmy go królem sobie obrali, był wielkim księciem litewskim i poganinem: krześcijaństwo dopiero co przyjął, a Niemce szczekają po świecie, że dusza jeszcze w nim pogańska. Przeto okrutnie mu nie przystoi pierwszemu wojnę wypowiadać i krześcijańską krew rozlewać. Dla której przyczyny i Witoldowi w pomoc nie rusza, chociaż go ręce swędzą, bo i to wiem, że nienawidzi on jak trądu Krzyżaków.

Takiemi mowami jednal sobie Maćko sławę bystrego człowieka, który każdą rzecz potrafi jako na stole położyć. W Krześni też otaczano go co niedziela po mszy kołem, a potem weszło

w zwyczaj, że ten lub ów sąsiad, zasłyszawszy jaką nowinę, zajeżdżał do Bogdańca, aby mu stary rycerz wytłómaczył to, czego zwykła szlachecka głowa nie mogła wyrozumieć. On zaś przyjmował wszystkich gościnnie i rozmawiał z każdym ochotnie, a gdy wreszcie gość, naga-wędziwszy się, odjeżdżał, nie zapomniał nigdy pożegnać go takimi słowy:

— Dziwujecie się mojemu dowcipowi, ale gdy Zbyszko, da Bóg, wróci, to się dopiero będziecie dziwowali! Jemu choćby w radzie królewskiej zasiadać, taka jucha lebska i prze-myślna!

I wmawiając to gościom, wmówił na końcu sobie, a zarazem i Jagience. Zbyszko wydawał się im obojgu zdala, jak królewicz w bajce. Gdy nadeszła wiosna, zaledwie już mogli usiedzieć w domu. Wróciły jaskółki, wróciły bociany; chróściele poczęły grać po łąkach, przepiórki odzywać się w zielonej runi zbóż; przyleciały przedtem jeszcze klucze żórawi i cyranek — Zbyszko jeden nie wrócał. Ale gdy ptactwo ciągnęło z południa, natomiast z północy wicher skrzydlaty przynosił wieści o wojnie. Mówiono o bitwach i licznych potyczkach, w których obrotny Witold to zwyciężał, to bywał pobity; mówiono o wielkich klęskach, które poczyniła między Niemcami zima i choroby. Aż wreszcie

rozgrzmiała po całym kraju radosna wieść, że dzielny Kiejstutowicz wziął Nowe Kowno, czyli Gotteswerder, zburzył je, kamienia na kamieniu i belki na belce nie zostawił. Maćko, gdy doszła go ta wiadomość, siadł na koń i w te pędy poleciał do Zgorzelic.

— Ha! — mówił — znane mi te strony, bośmy tam ze Zbyszkiem i ze Skirwojllą tego Krzyżaków potlukli. Tam wzięt był przez nas i ten poćiwyy de Lorche. Oto Bóg dał, że się Niemiaszkom noga powinęła, bo to kasztel był do zdobycia trudny.

Jagienka jednak słyszała już była przed przybyciem Maćka o zburzeniu Nowego Kowna, a nawet słyszała i coś więcej, a mianowicie, że Witold rozpoczął układy o pokój. Ta ostatnia nowina więcej ją nawet obeszła od poprzedniej, albowiem, gdyby pokój stanął, Zbyszko, jeśli został żyw, musiałby powrócić do domu.

Więc zaczęła wypytywać starego rycerza, czy to jest rzecz podobna do wiary, a ów, zastanowiwszy się, tak jej odrzekł:

— Z Witoldem wszystko jest do wiary podobne, gdyż to człek całkiem od innych różny i pewnie ze wszystkich panów krześcijańskich najchytrzejszy. Gdy mu trzeba ku Rusi swe panowanie rozszerzyć, to pokój z Niemcami czyni, a jak tam dokaże tego, co przedsię zamierzył,

znów Niemców za leb! Nie mogą sobie oni dać rady ani z nim, ani z tą nieszczęsną Żmujdzą. Raz on ją im odbiera, drugi raz oddaje — i nie tylko oddaje, ale sam im ją pomaga pognać. Są tacy między nami, ba i na Litwie, którzy mu to za złe mają, że on ze krwią tego nieszczęsnego plemienia tak igra... I jabym, szczerze mówiąc, za hańbę mu to miał, żeby to nie był Witold... Bo sobie czasem myślę: a nuż on ode mnie mądrzejszy i wie, co robi? Jakoż slyszalem od samego Skirwojły, że on z tej krainy wrzód wiecznie ciekący w krzyżackiem ciele uczynił, aby zaś nigdy do zdrowia nie przyszło... Matki na Żmujdzi zawdy będą rodziły, a krwi nie szkoda, byle nie szła na marne.

— Mnie tam jeno o to chodzi, czy Zbyszko wróci.

— Jak Bóg pozwoli, ale bogdajesz to, dziewczyno, w szczęśliwą godzinę powiedziała!

Jednakże upłynęło kilka miesięcy. Doszły wieści, że pokój istotnie stanął; zboża stały się płowe, ciężarne kłosami, poletki zasiane gryką dobrze już zrudziały, a o Zbyszku nie było i slychu.

Nakoniec po pierwszych sprzętach nie mógł już wytrzymać dłużej Maćko i zapowiedział, że wyruszy do Spychowa, wieści tam, jako w bliż-

szych stronach Litwy, zasięgnąć i zarazem gospodarstwo Czecha obejrzeć.

Jagienka napała się z nim jechać, a on jej nie chciał brać, więc poczęły się między nimi o to spory, które trwały przez cały tydzień. Aż gdy pewnego wieczoru sprzeczali się tak z sobą w Zgorzelicach, wpadł, jak wicher, na dworski podwórzec chłopak z Bogdańca, bosy, oklep, bez kapelusza na płowej czuprynie i zakrzyknął im przed przylapem, na którym właśnie siedzieli:

— Młody pan wrócił!

Zbyszko wrócił istotnie, ale jakiś dziwny: nietylko wychudły, spalony wichrem polnym, wynędzniały, lecz zarazem obojętny i mało-mówny. Czech, który przyjechał wraz z żoną z nim razem, gadał za niego i za siebie. Mówił tedy, że wyprawa widocznie się jednak udała młodemu rycerzowi, gdyż w Spychowie złożył na trumnach Danusi i jej matki cały pęk rycerskich pawich i strusich pióropuszków. Wrócił też ze zdobycznymi końmi i zbrojami, z których dwie były nadzwyczaj cenne, choć okrutnie razami miecza i toporu pocięte. Maćko płonął z ciekawości, aby się o wszystkim dokładnie z ust bratanka wywiedzieć, ale ów machał tylko ręką i odpowiadał półsłówkami, a trzeciego dnia zachorzał i musiał się położyć. Pokazało się, że miał zbity lewy bok i złamane



dwa żebra, które źle złożone «przeszkadzały» mu w chodzeniu i oddychaniu. Odezwały się także i te dolegliwości, na które swego czasu cierpiał po wypadku z turem, a do zupełnego poderwania jego sił przyczyniła się i droga ze Spychowa. Nie było to wszystko samo w sobie groźne, bo chłop był młody i niepożyty, jak dąb, ale na razie ogarnęło go jakieś niezmierne znużenie, jak gdyby wszystkie trudy, które poniósł, teraz dopiero zaczynały mu chodzić po kościach. Z początku myślał Maćko, że po dwóch, albo trzech dniach odpoczynku w łóżu wszystko minie, a tymczasem stało się przeciwnie. Nie pomogły żadne smarowania, ni okadzania ziółmi, które owczarz miejscowy zalecił, ni odwary, przysyłane przez Jagienkę i księdza z Krześni: Zbyszko coraz był słabszy, coraz bardziej znużon i coraz smutniejszy.

— Co ci jest? możebyś czego chciał? — wypytywał go stary rycerz.

— Niczego nie chcę i wszystko mi za jedno — odpowiadał Zbyszko.

I w ten sposób upływał dzień za dniem. Jagienka, wpadłszy na myśl, że to może jest coś więcej, niżeli zwyczajna «krzypota» — i że młodzian ma chyba jakąś tajemnicę, która go gnębi, poczęła namawiać Maćka, aby raz jeszcze popróbował wypytać, coby to mogło być.

Maćko zgodził się bez wahania, jednakże, pomysławszy chwilę, rzekł:

— A nużby tobie chętniej powiedział, niż mnie? Bo lubić — to on cię przecie lubi, a to też widziałem, że jak się tam kręcisz po izbie, to za tobą oczyma wodzi.

— Widzieliście? — zapytała Jagienka.

— Kiedy powiedziałem, że wodzi, to wodzi. A jak cię długo niema, to raz po raz na drzwi spogląda. Pytaj go ty.

I na tem stanęło. Jednakże pokazało się, że Jagienka nie umie i nie śmie. Dopiero, gdy przyszło co do czego, zrozumiała, że trzebaby jej mówić o Danusi i o miłości Zbyszka do nieboszczki, a te rzeczy nie chciały się jej przez usta przecisnąć.

— Wyście chytrzejsi — rzekła do Maćka — i rozum a doświadczenie macie lepsze: wy mówcie; ja nie mogę,

Więc Maćko rad nierad zabrał się do rzeczy i pewnego ranka, gdy Zbyszko zdawał się być nieco rzeźwiejszy, niż zwykle, taką rozpoczął z nim rozmowę:

— Powiadał mi Hława, żeś godną wiązkę czubów pawich w Spychowie w podziemiu położył.

A ów, nie odejmując oczu od pulapu, na

który, leżąc na wznak, patrzył, skinął tylko głową na znak potwierdzenia.

— No! Pan Jezus ci poszczęścił: bo przecie i na wojnie łatwiej o ciurów, niż o rycerzy... Knechtów możesz nabić ilu chcesz, ale za rycerzem trzeba się nieraz dobrze oglądać... Także ci to same leżli pod miecz?

— Pozywałem różnych kilkakroć na udeptaną ziemię, a raz otoczyli mnie w bitwie — odrzekł leniwie młodzian.

— I zdobycznego dobra dość przywiozłeś...

— W części, kniaź Witold obdarzył.

-- Zawsze taki hojny?

Zbyszko skinął znów głową, widocznie nie mając ochoty do dalszej rozmowy.

Ale Maćko nie dał za wygraną i postanowił przystąpić do rzeczy:

— Powiedz mi tak szczerze — rzekł. — Jakżeś już tam owymi czubami truchelkę nakrył, musiało ci okrutnie ulżyć?... Człek zawsze rad, gdy ślub spełni... Rad-eś był? co?

Zbyszko oderwał swe smutne oczy od pułapu, zwrócił je na Maćka i odpowiedział jakby z pewnem zdziwieniem:

— Nie.

— Nie? Bójże się Boga! Bo ja myślałem, że jak tam te dusze w niebie ucieszysz, to już będzie i koniec.

A młodzian zamknął na chwilę oczy, jakby w zamyśleniu i wreszcie odrzekł:

— Na nic widać zbawionym duszom krew ludzka.

Nastąpiła chwila milczenia.

— To po cóżeś na tę wojnę chodził? — zapytał wreszcie Maćko.

— Po co? — odpowiedział z pewnem ożywieniem Zbyszko — ja sam myślałem, że mi ulży! sam myślałem, że i Danuskę i siebie ucieszę... A potem aże mi się dziwno uczyniło. Wyszedłem z podziemia od tych truchel i tak samo mi ciężko było, jako i przedtem. Tak-ci to widać jest, że na nic zbawionym duszom krew ludzka.

— Musiał ci to ktoś powiedzieć, bo sambyś tego nie wymyślił.

— Samem wymiarkował z tego właśnie, że mi się świat nie wydał weselszy potem, niż przedtem. Ksiądz Kaleb tylko mi przytwierdził.

— Zabić nieprzyjaciela na wojnie nie grzech to żaden, ba! nawet chwalebna rzecz, a to przecie nieprzyjaciele naszego plemienia.

— Ja też za grzech sobie tego nie mam i nie żałuję ich.

— Jeno ciągle Danuski?

— Jużci; jako ją sobie wspomnę, to mi żal. Ale wola boska! Lepiej jej na dworcu niebieskim i — już ja do tego przywykł.

— To czemu się ze smutków nie otrząśniesz?  
Czego ci trzeba?

— Bo ja wiem...

— Wypocznienia ci nie brak, a krzypota cię  
rychło popuści. Idź do łaźni, wykąp się, wypij  
łagiewkę miodu na poty — i hoc!

— No i co?

— I wnet wesołości nabierzesz.

— A skąd jej wezmę? W sobie-ci jej nie  
najdę, a pożyczyć mi jej nikt nie pożyczy.

— Bo ty coś skrywasz!

Zbyszko ruszył ramionami.

— Nie mam wesołości, ale nie mam też nic  
do skrywania.

I powiedział to tak szczerze, że Maćko od  
razu przestał posądzać go o tajemnicę, a nato-  
miast począł się gładzić szeroką dłonią po siwej  
czuprynie, jak miał zwyczaj czynić zawsze, gdy  
się nad czymś mocno namyślał i w końcu rzekł:

— To ja ci powiem, czego ci brak: Tobie  
się jedno skończyło, a drugie się jeszcze nie  
zaczęło — rozumiesz?

— Nie bardzo, ale może być! — odpowiedział  
młodzianek.

I przeciągnął się, jak człowiek, którego ogar-  
nia sen.

Maćko jednak był pewien, że odgadł pra-  
wdziwą przyczynę i rad był ogromnie, albowiem

przestał się zupełnie niepokoić. Nabrał też jeszcze większej niż przedtem ufności do własnego rozumu i mówił sobie w duchu: «Nie dziwować się ludziom, że się mnie radzą!»

A gdy po owej rozmowie, wieczorem tego samego dnia przyjechała Jagienka, jeszcze nim zdążyła zsiąść z konia, powiedział jej, że wie, czego Zbyszkowi brakuje.

Więc dziewczyna zsunęła się w jednej chwili z siodła i nuż dopytywać:

— No co? czego? mówcie!

— Ty właśnie masz dla niego lekarstwo.

— Ja? jakie?

A on objął ją wpół i począł szeptać jej coś do ucha, ale niedługo, gdyż po chwili odskoczyła od niego, jak oparzona i ukrywszy między czaprakiem a wysokiem siodłem splonioną twarz, zawołała:

— Idźcie sobie! Nie cierpię was!

— Jak mi Bóg miły, tak prawdę mówię — rzekł, śmiejąc się, Maćko.







LP  
S5724

486114  
Sienkiewicz, Henryk  
Pisma.  
v.56

*Storage*

DATE.

NAME.

University of Toronto  
Library

DO NOT  
REMOVE  
THE  
CARD  
FROM  
THIS  
POCKET



